Nr. 6. Kraków, czerwiec 1907. Rok VIII.



:: PISMO DLA KOBIET ::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

ODEZWA.

Drogie, wierne nam Czytelniczki „Przodownicy“!

Uznałyście już dawno tę wielką prawdę, iż oświata jest największem dobrem na ziemi i że bez niej, jak bez jasnego słonka na niebie, ciemno jest, źle i ludzie błądzą, potykają się, jakoby pogrążeni w ciemnościach nocnych, a często upadają tak głęboko, iż się więcej z niedoli życia dźwignąć nie mogą.

Z szeregu artykułów, opowiadań historycznych, powiastek, a nawet drobnych wierszyków, dowiadywałyście się, iż jesteście córkami wielkiego rycerskiego narodu, który początek swój wywiódł z prostej kmiecej zagrody — doszedł chwały najwyższej, jak długo się w nim proste, ciche cnoty ojców krzewiły, upadł — kiedy zapanowała w nim krzywda i nienawiść bratnia. Słyszałyście już nieraz od nas, że dobrzy obywatele kraju, miłujący swą ojczyznę. myślą i pracują nad tem, by ją dźwignąć z upadku, by ją odrodzić naprzód duchowo. Szereg instytycyi, niosących ludowi oświatę, broniących go od wynarodowienia i wyzysku, są tymi środkami, które naród, pogrążony w upadku, ratują od ostatecznej zagłady. Byście wy kobiety zrozumiały te sprawy doniosłe, byście każda, na jakiemkolwiek jesteście stanowisku, odnosiły się z zaufaniem i życzliwością ku takim instytucyom i również korzystnie wpływały pod tym względem na rodziny wasze, pracujemy od lat kilku usilnie.

Kobieta wiele znaczy w odradzającym się narodzie; przykładem są nam Czeszki i Serbki, które w krótkim czasie, jednocząc się w siły, działając zgodnie, dążąc ku jednemu celowi, bardzo wiele dobrego zdziałały w ojczyznach swoich.

I my Polki postanowiłyśmy wezwać wszystkie kobiety z wszelkich zakątków Polski, by się jednoczyły w jedno wielkie stowarzyszenie pod hasłem narodowem, w celu niesienia światła wiedzy pod względem społeczno-ekonomicznym i etycznym, pomiędzy te warstwy kobiet, które pracą swoją, bądź to domowo-gospodarczą, rolną, przemysłową lub też fabryczną, stanowią pokaźną sumę sił dorobkowych dla narodu.

W celu wzajemnego poznania się i zapoczątkowania pracy, komitet urządza Zjazd kobiet w Krakowie w dniach 29 i 30 czerwca

1907 r., na który niniejszą odezwą wzywa wszystkie kobiety, chcące brać udział w doniosłej pracy narodowej. Przybywajcie więc w mury starego Krakowa! naszego Krakowa! Ze wszystkich zakątków kraju, gdzie tylko dźwięczy mowa nasza! Z ziemi śląskiej, skąd leci ku nam nieustannie odzew hartownej, niezłomnej duszy polskiej i z zaboru rosyjskiego i z tej Wielkopolski, gdzie miłość ojczyzny, zda się, cudnym kwiatem wschodzić, pełnym nadziei w przyszłości w sercach nieustraszonej dziatwy polskiej.

Wy, coście się stały już przyjaciółkami naszemi i współpracowniczkami naszych myśli i zamiarów, gorącem, żywem słowem starajcie się zachęcać inne do wzięcia, jak najliczniejszego udziału w zjeździe, boć w jedności siła.

Oczekujemy Was zatem z otwartem sercem i przesyłamy serdeczne „Do widzenia“.

Historya małej posiadłości rolnej (włościańskiej).

(Ciąg dalszy).

W XV wieku ciągła potrzeba obrony granic polskich przeciw Krzyżakom, którzy nieopatrznie sprowadzeni przez księcia mazowieckiego Konrada przeciw drapieżnym Prusakom, mieszkającym nad morzem Bałtyckiem, rozwielmożnili się na ich ziemi i zagrozili bytowi Polski, powiększyła znaczenie stanu rycerskiego, który sam tylko obowiązany był u nas do służby wojskowej i bronienia ojczyzny. Rycerze czyli szlachta, w zamian za pełnienie tej służby, żądali pierwszeństwa w narodzie, praw i przywilejów. To też przez cały wiek ten zaokrąglali swoje folwarki, stawiając coraz większe wymagania wobec obrabiających je czynszowników, którzy nie mogli się opierać tym wymaganiom, tem bardziej, gdy właściciele obszarów ziemskich, korzystając ze sprzyjających im okoliczności, postarali się w roku 1496. o wydanie prawa, przytwierdzającego czynszowników do ziemi przez nich obrabianej i stanowiącego, że z każdej rodziny kmiecej wolno wyjść do szkół lub do miasta, do rzemiosła, tylko jednemu synowi. Wreszcie w połowie XVI wieku, gdy od Wschodu zawisła nad Europą, a w pierwszym rzędzie nad Polską, ciągła groźba napadu Turków, którzy wówczas wzrósłszy do niezmiernej potęgi, dążyli do zawojowania całego świata, szlachta zaś polska stała się jedynem przedmurzem Polski i cywilizacyi, otrzymali dziedzice od królów prawo sądu nad osadnikami i czeladzią dworską. Było to prawo bardzo niebezpieczne, gdyż pomyślność i życie całych gromad czyniło zawisłem od charakteru poszczególnych ludzi. Był dziedzic dobry, to działo się we wsi dobrze — był zły, to działy się bezprawia i niesprawiedliwości.

Po usunięciu dawnych sołtysów wieś znalazła się na łasce dziedzica, ale zachowała swój samorząd wewnętrzny aż do czasów najnowszych. Gromada, t. j. wszyscy gospodarze wsiowi, razem wzięci, wybierała radę gminną i zarządzała sprawami miejscowemi, pod przewodnictwem wójta, mianowanego przez dziedzica, z pośród miejscowych kmieci. W zakresie swoim, oraz w sprawach osobistych, gromada miała swobodę, bo dziedzic troszczył się zwykle tylko o to, by jego gospodarstwo szło dobrze i by mu odrabiano to, co za swoje prawo uważał. Niemniej jednak, we własnym swoim interesie, opiekował się do pewnego stopnia rolnikami. Jeżeli kmieciowi padł wół, dostawał ze dworu innego w „załóg“, to jest na tak długo, dopóki nie odchował sobie nowego. W latach nieurodzajnych, jako też w czasie przednowku, otrzymywał ze spichrza dworskiego ziarno na chleb i zasiew, z lasu dziedzica miał budulec i drzewo na opał, a prócz tego prawo używania pastwisk, zbierania suszu i t. p.

Niemniej praca przymusowa i przytwierdzenie do uprawianej roli ciężyły niemało swobodę kochającemu polskiemu kmieciowi i wydawały się tem nieznośniejszemi, gdy równocześnie szlachcic, w zamian za obowiązek służenia ojczyźnie z bronią w ręku, używał prawdziwie złotej wolności, miał wpływ na rządy kraju, wybierał króla i sam mógł być królem obrany. To też zdarzało się nieraz, zwłaszcza gdy dziedzic był zły i surowy, że śmielsi włościanie opuszczali potajemnie sioła i osiadali w odległych stronach Polski, na mocy umowy, zawartej z innym dziedzicem. Tajemna ta emigracya dążyła głównie do południowo-wschodniej Polski, na Ukrainę, gdzie było dużo wolnej ziemi, której właściciele, chcąc zwabić osadników, ogłaszali „swobodę“, t. j. oddawali ziemię na dłuższy czas,

na lat kilkanaście i dłużej, całkiem bezpłatnie, zastrzegając sobie jedynie, że osadnicy, po upływie tego umówionego czasu, zagospodarowawszy się, będą później płacić czynsze, lub odrabiać pańszczyznę. Ta długoletnia wolność posiadania ziemi, od której pełno u nas wsi, zwanych „Wolami“ i „Wulkami“, była ogromną przynętą. Rolnikowi, któremu oddawano grunt w bezpłatne posiadanie na lat 15 i więcej, zdawało się, iż bierze go na własność; tymczasem lata te w pracy upłynęły szybko i potem przywykłemu do swobody, trudno było pogodzić się z odrabianiem pańszczyzny, pod komendą surowego włodarza dworskiego, a choćby i z płaceniem czynszu. To też zdarzało się nieraz, że tacy osadnicy, po upływie wolnych lat władania ziemią, porzucali ją i uchodzili bądź w puszcze, gdzie trudnili się wytapianiem smoły, bądź do zaporozkich kozaków. Kozacy ci, była to zbieranina rozmaitych włóczęgów, przestępców i zbiegów, którzy zorganizowani po wojskowemu, mieszkali na wyspach rzeki Dniepru, trudnili się polowaniem i rybołowstwem, ale głównie żyli z walk, staczanych ustawicznie z Tatarami i Turkami, i ze zdobywanych podczas walk tych łupów.

Ludzie odrabiający pańszczyznę wolni byli od obowiązku służenia w wojsku i w ogóle nie ponosili żadnych ciężarów państwowych.

Stwierdzić tu należy, że opisane wyżej stosunki istniały jedynie w dobrach prywatnych; we wsiach, należących do kraju, czyli w tak zwanych dobrach królewskich, które były w Polsce olbrzymie i tworzyły d w i e t r z e c i e posiadłości ziemskiej, włościanie za czasów niepodległości Polski, nie odrabiali żadnej pańszczyzny, byli ludźmi wolnymi i płacili jedynie umiarkowane czynsze, nie ponosząc zresztą żadnych ciężarów publicznych, ani n i e służąc wojskowo. Dopiero król Stefan Batory postanowił, by w razie nagłej potrzeby Rzeczypospolitej wybierano w dobrach królewskich, z każdych dwudziestu łanów, jednego pieszego żołnierza. Postanowił to dlatego, że rycerstwo polskie tylko konno służyło we wojsku, wskutek czego cała armia polska składała się z jazdy. Wprawdzie wówczas jazda była główną bronią tak, jak dzisiaj piechota, ta ostatnia zaś, z powodu niedoskonalonej jeszcze natenczas broni palnej, odgrywała podrzędną rolę; była jednak we wojnie przecież potrzebna do zdobywania i bronienia fortec, naprawiania dróg, stawiania mostów i t. p. Dlatego wobec niechęci szlachty do walczenia pieszo, musiano najmować żołnierzy z zagranicy, co drogo kosztowało, a przytem najemni tacy żołdacy bili się nieszczególnie. To spowodowało króla Stefana do utworzenia łanowej piechoty. Nie można tego jednak nazwać wprowadzeniem „podatku krwi“, jak dziś nazywają obowiązek służenia w wojsku, ani nawet takim obowiązkiem, wybrańców bowiem łanowych nie brano gwałtem w rekruty, tylko werbowano. Z 20 łanów miał być jeden żołnierz, ale był nim nie ten lub ów z góry wyznaczony, tylko taki, co miał ochotę do wojaczki. To też chociaż łanów królewskich było tysiące, nigdy tych żołnierzy nie było dużo; za czasów Batorego było parę pułków, później zaś jeden jedyny pułk piechoty, złożony z kilkuset ludzi.

Omawiając stosunki polskich kmieci, trzeba koniecznie wiedzieć i pamiętać o tem, jakiem było równocześnie położenie ich w innych krajach, szczycących się wysoką kulturą i cywilizacyą, i spoglądających nieraz z góry na nasz naród.

W Niemczech, Francyi, Anglii panował wówczas system feudalny, polegający na tem, że na czele kraju stał król, któremu podlegali i służyli drobniejsi książęta, dzierżący od niego nadane dobra i obowiązani za to do dostarczania żołnierzy, płacenia podatków i służenia mu osobiście. Zależni ci od króla książęta, zwani „wasalami“, mieli pod sobą mniejszą szlachtę, która zajmowała wobec nich takie samo stanowisko, jak oni wobec króla, i władała poddanymi jej chłopami, którzy byli jej niewolnikami, należącymi duszą i ciałem do swoich panów. W Polsce prawo dziedzica ograniczało się do żądania pańszczyzny i pewnych zwyczajem ustanowionych danin; tymczasem w wymienionych wyżej krajach, dziedzic był panem życia i śmierci swego poddanego — mógł z nim robić, co mu się żywnie podobało, mógł go darować, sprzedać, zastawić, jakby jaką rzecz, lub zwierzę. A władza ta niemieckiego, francuskiego lub angielskiego dziedzica odnosiła się nietylko do ciała, ale także i do duszy poddanego. Gdy dziedzic zmienił wiarę, miał prawo żądać, ażeby i poddani jego uczynili to samo. Wskutek takiego urządzenia społecznych stosunków, wszelki ucisk, wywierany przez króla i rząd jego na książąt i szlachtę, spadał w Niemczech, Francyi, Anglii i w innych, podobnie urządzonych krajach, ostatecznie na chłopa, który za wszystkich musiał płacić, służyć w wojsku i krew swoją w bo-

jach przelewać. Takie same stosunki panowały w Moskwie, tylko w jeszcze gorszym gatunku, bo tam wszyscy ludzie byli niewolnikami cara. W jednej Polsce było znacznie lepiej, gdyż tutaj kmieć nie był nigdy niewolnikiem i nie miał obowiązku służenia wojskowo.

W krajach zachodnich, w Niemczech, Francyi i Anglii, w XVI i XVII wieku system feudalny przemienił się w samowładne rządy monarchów; zmiana ta jednak nie wpłynęła na położenie tamtejszych chłopów, którzy nadal pozostali niewolnikami tak, że w Niemczech jeszcze w drugiej połowie XVIII w., książę heski sprzedawał Anglikom swoich chłopów na żołnierzy, których rząd angielski wysyłał do Ameryki przeciw tamtejszej ludności, dobijającej się wolności.

Chociaż w Polsce niepodległej nigdy podobnego ucisku nie było, a znajdowało się w niej daleko więcej wolnych ludzi, niż gdziekolwiek indziej na świecie, to przecież od najdawniejszych czasów nie brakło u nas światłych obywateli, kochających wolność i sprawiedliwość, którzy ujmowali się za ludem rolnym i żądali poprawy jego położenia. Już w XVI wieku pisali o tem Frycz Modrzewski, Ostroróg, Fredro, wykazując, że nietylko szlachcie, ale i ludowi należy się wolność i swoboda. Do tego samego nawoływał w wieku XVII, za panowania Zygmunta III, natchniony kaznodzieja, ksiądz Piotr Skarga.

W roku 1733. miasto Poznań oczynszowało swoje włości, znosząc w nich pańszczyznę. Klasztor w Mogile zrobił to samo w r. 1735. W Polsce w XVIII wieku myśl o wolności ludu już nie gaśnie, ale chociaż z wolna i z trudem rozszerza się wśród uczonych i szlachty. W roku 1775, żądają posłowie litewscy na sejmie, ażeby pustkowia i nieużytki rozdać chłopom na własność, w następnym zaś roku 1776. król i sejm powierzają Andrzejowi Zamoyskiemu rozpatrzenie sprawy włościańskiej.

Około połowy XVIII wieku także i na Zachodzie: w Niemczech, Francyi i innych krajach, gdzie do niedawna wolność była nieznaną rzeczą, zaczęło się budzić sumienie ludzkie i współczucie dla doli ludu. U nas zajmują się tą sprawą najznakomitsi ówcześni pisarze i uczeni nasi. Staszic określa stan ówczesny włościan, nazywając ich „czynszowo lub wyrobnie dziedzicami gruntu“. Tak nie nazwałby poddanych żaden pisarz w innym kraju, gdzie poddani byli niewolnikami. Zajęcie się sprawą włościańską i omawianie jej przez naszych pisarzy i uczonych, nie było bezowocnem. Myśl o powszechnej wolności wszystkich Polski mieszkańców szerzyła się coraz więcej i znalazła wyraz w słynnej Konstytucyi 3 maja, która, dążąc do powszechnej równości przez podniesienie całego narodu do stanu rycerskiego, wzięła wszystkich włościan polskich pod szczególną opiekę prawa.

Dążenia wolnościowe Konstytucyi 3 maja przeraziły Prusy i Moskwę, które sprzysięgły się przeciw Rzeczypospolitej polskiej i spowodowały jej drugi rozbiór w r. 1793. Gdy wskutek tego nieśmiertelnej pamięci Tadeusz Kościuszko stanął na czele narodu i okrzyknięty w r. 1794, najwyższym Naczelnikiem, dobył oręża w obronie Polski i wolności, postawił sobie do osiągnięcia dwa cele: oswobodzenie Polski od najezdników i obdarzenie polskiego ludu rolnego zupełną wolnością i równością. Bój pod wodzą Kościuszki rozpoczęty świetnemi zwycięstwami, zakończył się nieszczęśliwą bitwą maciejowicką, po której ościenne mocarstwa rozszarpały ojczyznę naszą. Odtąd los ludu polskiego stał się zawisłym od rządów mocarstw zaborczych: Austryi, Prus i Moskwy.

Los ten po rozszarpaniu Polski wszędzie się pogorszył. W zaborze austryackim i pruskim rządy najezdnicze uwolniły szlachtę od powinności wojskowej, zwalając powinność tę na włościan, a zarazem uciskając ich nieznanymi za polskich czasów podatkami. Gorzej jeszcze stało się w zaborze moskiewskim, tam, na Litwie i Rusi, zniósł rząd carski dawne prawa polskie, tak zwany „Statut litewski“ i wprowadził niewolę chłopów i poddaństwo, takie same, jakie od wieków istniały w państwie carów.

Myśl jednak Konstytucyi 3 maja i Tadeusza Kościuszki nie zaginęła w narodzie polskim. Sama szlachta nasza, pragnąc przy pomocy ludu zrzucić jarzmo obce, starała się przez długie lata we wszystkich trzech zaborach o uwłaszczenie ludu, chociaż spotykały ją za to prześladowania, więzienia, a nawet śmierć na szubienicach.

Starania te nie zostały bez skutku. W zaborze pruskim uzyskał lud rolny własność po wojnach napoleońskich, w zaborze austryackim w r. 1848, pod Moskalem zaś Rząd narodowy, wzywając naród do walki o wolność i niepodległość Polski, manifestem z d. 22 stycznia 1863 r. zniósł pańszczyznę i za-

prowadził równość wszystkich mieszkańców Polski.

Bohaterskie boje 1863, 1864 r., z powodu przedwczesnego wybuchu powstania, nie wywalczyły Polsce wolności i niepodległości, ale zmusiły rząd carski do zniesienia pańszczyzny. Dzięki tym bojom, dzięki powstaniu 1863 i 1864 r., car Aleksander II zmuszony był ukazem z dnia 2 marca 1864 r. znieść pańszczyznę.

Odtąd ukształca się czwarty sposób władania ziemią. Wsie dzielą się na małe gospodarstwa włościańskie, stanowiące własność dziedziczną chłopów i na folwarki, pozostałe z dawnych czasów, uprawiane przez najemnych parobków i robotników, a będące własnością ludzi, którzy je odziedziczyli lub kupili.

Upłynęło już 40 lat przeszło swobody i gospodarczej niezależności naszego ludu wiejskiego. Postęp jednak pod względem zamożności i oświecenia jest nieznaczny. Po latach obojętności i bezwładności lud sam się dźwignąć nie może. Musi przyjąć pomoc od oświeceńszych warstw narodu, które światłem swojem z nim się dzieląc, nauczą go dobrego i tak produktywnego sposobu gospodarowania na roli, że będzie, niby usta, ssące z matki-ziemi wyżywienie dla całego narodu i jeszcze na zbyt dla obcych.

Obrońca wiary.

W świątyni na Wawelu mnogo dostojnych ludzi.

Przybyli posłowie z Węgier, przynosząc królewiczowi Władysławowi koronę.

Młody, szesnastoletni królewicz, kornie ukląkł do modlitwy, a widać z twarzy, iż nadzieja korony drugiej nie cieszy go, lecz trwoży.

Biskup Jan z Segedynu, otoczony posłami węgierskimi, przypatruje się wszystkim obecnym w świątyni.

Cały wspaniały dwór królewski przedstawia się dostojnie.

Królowa Sonka, matka dwu królewiczów Jagiełłowych, Władysława i Kazimierza, uradowana jest i szczęśliwa. Ma się czem cieszyć i weselić. Władysławowi przynoszą koronę z Węgier, Władysława proszą na pana i władcę narodu wielkiego.

Lecz młody król zadumane czoło pochyla i oczy zwraca na wizerunek Zbawcy.

— Korona ciężką bywa — szepce młody król w modlitwie — a Ty, Chryste, widzisz, iż nie pragnę korony dla swego blasku, lecz dlatego, bym Węgry od Turków obronił.

Po nabożeństwie ruszyli wszyscy do sali białej na zamek.

Młody król zasiadł na tronie. Otoczyli go dostojni panowie, matka siadła obok, brat Kazimierz po drugiej stronie.

Przyszli też i posłowie tureccy, radzi obaczyć młodego króla i usłyszeć odpowiedź, jaką on da posłom węgierskim.

Siwy biskup Jan z Segedynu rozpoczął uroczystą przemowę...

Posłowie węgierscy padli na kolana i wznosząc dłonie, błagali:

— Nie odrzucaj korony, którą ci przynosimy, weź nas w swą opiekę!...

Blady, drżący ze wzruszenia, powstał król Władysław i rzecze:

— Bóg mi świadkiem, iż nie dla żądzy panowania, nie dla ziemskich widoków przyjmuje ofiarowaną mi przez was dostojność, ale czynię to dla dobra chrześcijaństwa i dla obrony wiary.

— Bóg mi świadkiem — rzecze dalej Władysław — iż nie dla blasku i nie dla pychy wywyższania się przyjmuje wasz dar, lecz jako ojciec mój Litwie pragnął dać zbawienie przez wiarę, tak ja pragnę Węgry od pogańskiego miecza ratować.

Chwila była uroczysta, a drżący głos królewicza wzruszył wszystkich.

Podano koronę węgierską Władysławowi wśród ciszy i majestatu czci, z jaką na tego młodzieńca patrzono.

Było to w drugą niedzielę postu 1440 r. w białej sali na Wawelu.

W cztery lata później, pod Warną, król Władysław, otoczony rycerstwem, czekał na rozpoczęcie bitwy.

Ziemia tętniała od pułków tureckich. W lewo nad Dźwińskiem jeziorem zajęło miejsce 5 chorągwi węgierskiego rycerstwa. W pośrodku stał król, przybrany wspaniale, jak do ślubu lub do trumny. W prawo za chorągwią króla stały bohaterskie wojska, potem czarna węgierska chorągiew, potem pułk Szymona z Rozgonu, pułk biskupa Jagiewskiego,

potem ban ze Slawonii ze swoimi, potem rota kościelna Cezariniego.

Wspaniały widok ludzi, idących w obronie wiary.

Tuż na prawo chorągiew świętego Władysława, a przy chorągwi biskup z Waradynu.

Cisza i milczenie.

Nagle porwał się wicher niezwyczajnej siły, aż chorągwie pochyliły się niby pokłonem na pożegnanie ciszy i spokoju.

Równocześnie pokazali się Turcy.

Pisk i wrzawa rozległy się dokoła.

Powstał bój, silny, straszny, piekielny bój pohańców, idących na zdeptanie krzyża, na obalenie chrześcijaństwa.

Pod Warną ziemia drży i poi się krwią ciepłą, a nad Warną niebo chmurne i wojny skrzydła szumią w locie.

— Giń wiaro w krzyż i Zbawiciela! – huczą Turcy i rwą się siłą niepowstrzymaną...

— Krzyżu Chrystusa! zwyciężaj i zbawiaj ludy! – powtarza Władysław, podnosząc miecz w górę.

— Wróć się! — szepce mu młodość – jeszcze 20 lat nie masz, jeszcze nie piłeś z krynicy szczęśliwych dni, jeszcześ się nie rozkoszował władzą dwóch koron, złotych koron, lśniących koron...

— Stań na uboczu — przestrzega samolubstwo — możesz zginąć, szkoda ci życia, królem jesteś, młody jesteś, berło masz, koronę masz, możesz być mocny, dumny, wyniosły...

— Przyjąłem koronę nie dla pychy lecz dla obrony wiary...

Hufiec królewski wpadł z taką gwałtownością na karki Turków i taką rzeź sprawił, iż zdawało się — cofną się, ujdą, przepadną.

— Gdzie król? gdzie król? — wołają nasi i z lękiem szukają dokoła.

— Króla wstrzymajcie! króla obrońcie! — woła Grzegorz z Sanoka, gdy zobaczył złocisty hełm wśród czerni nieprzyjacielskiej.

Ale wołanie to zagłuszyła wrzawa wojenna; dym, błysk stali, szczęk uderzanych mieczy, jęk, pierś na piersi, dłoń naprzeciw dłoni, a potem noc, cisza, grób i śmierć.

I przyszła śmierć bladolica i na to czoło młode, na którem dwie korony spoczywać miały, położyła swoje skrzydła lodowe i zamknęła te oczy jasne na sen długi i uciszyła to serce młode, które jeszcze mało szczęścia zaznało, na spokój niczem nieprzerwany.

. . . .

Długo szukano ciała króla Władysława, lecz nie znaleziono go.

Obrońca wiary nie cofnął się z drogi, lecz oddał się cały w ofierze.

„Grób jego — Europa,
Słup – śnieżne Bałkany,
Napis – wieczna pamiątka między chrześcijany!“

Idź pod kościół!...

— O Jezu, Jezu! A toć mnie Bóg Miłosierny pokarał tym chłopakiem! — Kostek a gdzie ty leziesz?! Znowu wodę wylejesz! Tak biadała na swego niewidomego syna Kostka, kręcąc się po izbie, Piotrowa. Nie zawsze był on taki nieporadny, że litość bierze patrzeć jak z rękoma przed siebie wysuniętemi snuje się po całem obejściu gospodarskiem swej matki — wdowy po gospodarzu Piotrze Kądzieli.

— Oj, mojaście wy najsłodsza – mawiała często Piotrowa, do której ze swych sąsiadek — niezbadane są wyroki Boskie, takie ci śliczne dziecko ten Kostuś był, takie ci oczka, jak te haberki, co hań w polu rosną, miał, a jak nimi pojźrał na człeka, to jakby kto po sercu głaskał; oj mojaściewy, mojaściewy!

Aż tu naraz cości mu się zaczęły czerwienić te ślepka, raiły baby to i owo i nic nie pomagało. Jedne mówiły, że mi go ktoś urzekł, a mnie się widzi, że wilgoć w izcie tak mu ten wzrok wyciągała.

Chciałam go do miasta do doktora powieźć, ale kumy gadały, że jak taka wola Boska, to doktory nie poradzą. Moja kochanieńka, a przecież nieraz to Pan Najmiłościwszy i doktorom swą łaskę okazuje.

— Ha, woli Boskiej nie było to nie powiozłam go! „Oj ciężka dola moja biednej wdowy! Ten jeden mi się został, a nijakiej z niego pociechy! Był Franuś pomarł, była Kasienka, wziął ją Pan Jezus do swej chwały! Taka już wola Jego była!

Często bardzo często nawet, starała się Piotrowa w ten sposób ulżyć strapionemu sercu.

Pewnej niedzieli, wracając z nieszporów, zatrzymała się Piotrowa przez chwilę przed swą chatą, aby ze sąsiadką trochę pogadać.

Zaczynała już, jak zwykle, ubolewać nad swoją opłakaną dolą, gdy wtem hałas jakiś pochodzący z wnętrza chaty, doleciał jej uszu. Pożegnawszy szybko sąsiadkę, wbiegła pędem do izby; tu ujrzała stojącego z załamanemi rękoma Kostka, a obok niego na podłodze największą jej chlubę gospodarską, półkę z naczyniem, którą Kostek, chcąc pewnie czegoś z niej dostać, a nie widząc, ze ściany zrzucił.

— O ty kaliko nieszczęsny, coś ty mi zrobił — krzyczała rozżalona kobieta, zbierając skorupy rozbitych szklanek i fajansowych talerzy, a złość jej wzbierała się w miarę ilości podnoszonych ze ziemi skorup. Ujrzawszy zaś rozbity garnuszek wzorzysty, który stanowił pamiątkę odpustową, wybuchnęła ogromnym gniewem.

— „Pod kościół idź kaliko“ — krzyknęła.

— Nie sierdźcie się matusiu“, ja nie widziałem przecie — usiłował drżącym głosem przeprosić rozgniewaną matkę nieszczęsliwy chłopiec.

— Pod kościół idź — powtórzyła z mocą.

Nazajutrz o świcie wyszła Piotrowa w pole, była to bowiem pora żniw. Wracając o zmierzchu opowiadała każdemu, kto tylko chciał słuchać, o swej szkodzie, przemilczając jednak o tem, że wypędzała swego syna pod kościół na chleb żebraczy. Dziś uspokoiwszy się trochę, żałowała swych słów popędliwych; spieszyła się też do domu, aby módz jakiem dobrem słowem wynagrodzić biednemu kalece wyrządzoną mu krzywdę. Jakież było jej zmartwienie, gdy wszedłszy w swoją zagrodę nigdzie Kostka znaleźć nie mogła. Napróżno rozpytywała się znajomych, czy nie widział kto Kostka, nie było go we wsi.

Gdy przez kilka następnych dni Kostek się nie zjawiał rozpacz Piotrowej nie miała granic. Po kilku tygodniach bezowocnych poszukiwań, nawet w sąsiedniej wsi, postanowiła Piotrowa pójść z kompanią na Jasną Górę, aby błagać Przenajświętszą Panienkę o zwrócenie jej zaginionego syna. Ze swych skromnych oszczędności przygotowała sobie oddzielnie kilka miedziaków na jałmużnę. Z sercem wezbranem gorącą prośbą, którą miała zanieść przed Oblicze Orędowniczki biednych i uciśnionych, wstępowała w bramy klasztoru Jasnogórskiego. Szereg nieszczęśliwych kalek i nędzarzy wyciągał ręce po jałmużnę. Piotrowa zaczęła rozwiązywać róg chusteczki, aby wydobyć pieniądze, gdy wtem spojrzawszy, krzyknęła strasznym głosem:

— Kostek, mój Kostek!

Padła na kolana i korząc się u stóp Przeczystej, ślubowała nigdy nie opuszczać biednego kaleki. *H. S.*

ZWIERZĘTA POŻYTECZNE.

Nietoperze czyli gacki.

Ludzie wogóle nie lubią nocnych stworzeń, bo myślą, że każdy, kto się ukrywa przed światłem, ma coś złego na sumieniu. Więc też i nietoperze nie cieszą się uznaniem, a co więcej, niejeden oskarża je o różne karygodne czyny i ogłasza je stworzeniem szkodliwem.

Nieraz można usłyszeć zdanie, że nietoperze wplątują się ludziom we włosy i że to jest bardzo niebezpieczne. Inni powiadają, że wlatują do kominów, aby wyjadać wędzącą się tam słoninę. Powinny więc być zaliczone do takich samych szkodników jak myszy.

Wszystkie te zarzuty są w rzeczywistości najzupełniej niesłuszne. Nietoperz co najwyżej przypadkiem mógłby się wplątać we włosy, ale że nie stara się tego robić nigdy, to więcej, jak pewna, boć samby na tem najgorzej wyszedł. Do kominów wlatuje nieraz, temu nie można zaprzeczyć. Ale bynajmniej nie po to, aby kosztować słoniny, lecz żeby tam się ukryć. Słoniny zaś żaden nietoperz nigdy nie jada.

Pokarm tych zwierząt stanowią wyłącznie owady, a przekonać się o tem może każdy, kto zechce przyglądać się nocnym ich polowaniom, albo obejrzeć uważnie ich zęby. Są one drobne i śpiczaste, takie same jak u sowy i kreta, a więc w sam raz odpowiednie do miażdżenia twardej skórki owadów, ale zupełnie nie nadającą się do kąsania słoniny.

Nietoperz dzień spędza w ukryciu, żyć zaś i polować zaczyna dopiero w nocy, a przynajmniej późnym wieczorem. Wylatuje wówczas z kryjówki, którą stanowi dziupło albo jakiś strych pusty i cichym, skradającym

się lotem szybuje w ogrodzie lub przy domu, chwytając owady, które napotka. Najczęściej łapie różne ćmy, których liszki są szkodliwe dla drzew owocowych.

Widzi nietoperz nie tęgo, ale też po ciemku i dobry wzrok nie na wiele przydałby się. Za to ma doskonały słuch i świetny dotyk. Dość spojrzeć na jego olbrzymie uszy, aby się domyśleć, że jest to stworzenie świetnie słyszące. Czuły zaś dotyk posiada on zarówno i w skrzydłach, jak i w różnych płatach skóry, sterczących mu na nosie i przy uszach. Dzięki temu czuje on i słyszy doskonale; najmniejszy szelest koło siebie omija wśród największych ciemności każdą przeszkodę i nie daruje ani jednemu owadowi, który przeleci koło niego. Paszcza szeroko otwierająca się pozwala mu doskonale łapać owady w locie.

Że zaś poluje latając i używając dużo ruchu, odznacza się więc nienasyconym apetytem. Pewien uczony, zajmujący się badaniem obyczajów nietoperzy, był świadkiem pewnego razu, jak jeden z nich zjadł jednego po drugim 30 chrabąszczy i nie był wcale nasycony, bo polował dalej. Trzeba przyznać, iż jest on wybredny w jedzeniu, odrzuca bowiem twarde części, jak skrzydła i nóżki i zjada tylko miękkie, ale też wskutek tego tępi tem więcej owadów i jest tem bardziej pożyteczny.

Główny pożytek przynosi on ogrodom i lasom. Nie odznacza się lotem zbyt wytrwałym i dlatego nie oddala się nigdy zbytnio od miejsca noclegu. A że w polu nie znalazłby dogodnej kryjówki dla siebie, ukazuje się więc tam stosunkowo rzadko i poluje przeważnie w lesie lub ogrodzie koło domu. Jest też nieocenionym obrońcą drzew leśnych i owocowych, tem większym, że poluje nocą, kiedy większość zwierząt owadożerczych śpi, a dalej, że umie łapać owady w locie, którą to sztukę posiada tylko niewiele ptaków i przytem przeważnie dziennych.

Jest to więc stworzenie bardzo pożyteczne. Nie powinniśmy więc w żadnym razie zabijać nietoperzy. lecz powinniśmy otaczać je opieką, tem bardziej, że mają one dość wrogów; kuny i tchórze, a nawet łasice duszą je, gdy są one uśpione w czasie dziennego wypoczynku; a sowy łapią je w locie, gdy wychodzą nocą na polowanie. Nietoperz zaś nie posiada żadnej broni, którąby mu pozwoliła odegnać napastników. Jedyną ich ucieczką jest dobra kryjówka. To też najlepiej się one mają tam, gdzie jest dużo drzew dziuplastych.

Dziupło takie służy im nietylko za kryjówkę w lecie; stanowi ono także ich mieszkanie zimowe.

Jak wszystkie stworzenia karmiące się wyłącznie owadami, nietoperze nie miałyby co jeść u nas w zimie, i zginęłyby z głodu, gdyby spróbowały polować wówczas. Nie Nie mogą też odlecieć na południe do cieplejszych krajów, jak to robią różne ptaki, ponieważ nie umieją latać wytrwale i posiadają słabe skrzydła. Ale zato mają zdolność zasypiania na całą zimę twardym snem, w ciągu którego mogą najzupełniej obejść się bez pokarmu. Muszą tylko znaleźć odpowiednią kryjówkę, jako tako zabezpieczoną od mrozu.

Kryjówek takich dostarczają im drzewa dziuplaste, puste strychy, piwnice, jaskinie, stare zwaliska. Nietoperze gromadzą się w takich miejscach w ogromnych ilościach i zimują wielką kupą razem, bo w ten sposób grzeją się wzajemnie i mniej są narażane na zamarznięcie.

A gdy nastanie wiosna i ciepło, budzą się, opuszczają kryjówkę zimową i znów zaczynają nocami polować na owady i chronić od nich ogrody i lasy.

Przywitajmy więc przychylnie te ponuro wyglądające stworzenia, gdy zaczną one w ciepłe wieczory letnie latać naokoło naszych domów! *B. Diakowski.*



WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Kl. Stöckheim 14 kwietnia 1907.

Wielmożna Pani Dobrodziejko!

Zadziwi to zapewne Panią Dobr., że ja znów odleciałam w obce kraje. Ale cóż robić, kiedy my nie zawsze sami od siebie zależymy. Nie myślałam wcale, że jeszcze tego roku będę musiała wyjechać, ale zbiegiem rozmaitych okoliczności byłam prawie zmuszona do wyjazdu; do samego końca nie miałam jechać, aż naraz tak się wszystko ułożyło; najlepszym dowodem jest, że nie miałam czasu nawet na oddanie książek Wnej Pani, wszystko zostawiłam w domu i proszę bardzo o przebaczenie.

Poleciłam siostrze młodszej oddanie tych książek, ale aż w maju, gdyż chciałabym, żeby ona była na tym zjeździe Czytelniczek „Przodownicy" w maju, kiedy ja nie mogę, niech więc ona coś skorzysta. Ja jej napiszę kiedy ma iść, a gdy przyjdzie, to proszę bardzo, Wna Pani będzie łaskawa poinformować ją o programie Zjazdu, bo ona nie jest jeszcze tak świadoma, ale ma ogromnie dużo chęci dobrych; jeżeliby był teatr, to ona pierwszy raz w życiu byłaby tam.

Ja jestem teraz pozbawiona wszelkiego czytania, chyba czasem jaką niemiecką gazetę, ale cóż kiedy to człowiek nie czyta tak chętnie, bo i nie można tak dobrze rozumieć, najmilszy każdemu jest język ojczysty. Tej zimy miałam dużo przyjemności z książek a najlepiej mi się podobały: „Marzyciele", „Przed burzą" i „My i Oni", te chciałabym jeszcze raz czytać, takie śliczne, że płakać nad niemi. Teraz tylko wspominać sobie muszę i tęsknić za wszystkiem co nasze, ale te trzy miesiące wnet przelecą i znów wrócę do kraju. Cóż kiedy u nas tak ciężko, bo jeszcze tak mało światła. Kiedyż zabłyśnie wreszcie jutrzenka swobody? Kiedyż już lud zacznie rozumieć, że w jedności siła. Otóż i ja teraz myślałam, że się utrzymam u swoich, ale gdzietam, kiedy lud nasz jeszcze nie rozumie kto z nim, kto przeciw niemu, kto mu dobrze życzy a kto źle. Że nie zna tego hasła „swój do swego", jak to w Paznańskiem już znają i chociaż się trafiają ludzie dobrej woli, choć i z wyższej klasy, to lud nasz nie ufa, nie chce usłuchać, zawsze jest ta przepaść, która dzieli lud od intelligencyi już od lat wielu i choć mu dobrze kto życzy nie wierzy.

Tak i ja się cieszyłam, że sobie otworzę sklepik Kółka rolniczego i będę miała pole do działania, coś coś się przysłużę i coś dorzucę do tej olbrzymiej pracy nad dobrem kraju, ale nie udało mi się, bo u nas mają tylko żydzi otwarte pole, bo u nas niema jedności. Jednak na tem jeszcze nie poprzestaję, dążyć do czegoś, te dążyć wiecznie, choćby się nic nie miało otrzymać prócz złud i mar. Może mi jeszcze Pan Bóg da dożyć tej pociechy, że kiedyś będę pracować na ojczystej niwie dla dobra Ojczyzny. Tylko powoli i z Bogiem a może jeszcze słońce zaświeci, przedewszystkiem trzeba mieć ciężką kasę, to jest u nas najlepsze, bo u nas trzeba dużo pieniędzy, chcąc kraj podźwignąć z nędzy materyalnej i moralnej; bez pieniędzy niema ani oświaty ani dobrobytu, bo któż się będzie starał wzbogacać umysł, o książkach myśleć, o oświacie, jak niema odpowiednich fuuduszów na utrzymanie, musi myśleć najpierw o potrzebie ciała niż o ducha, chociaż pierwsza powinna być dusza. My nie możemy równać się z Niemcami ani Francuzami, jak to czytałam raz w „Przodownicy" opis ze Śląska. Jak tam Polacy mają porządne mieszkania i dobrobyt, u nas tak być nie może pod żadnym warunkiem, bo zawsze brak środków, my na wsi musimy mieć jedną izbę za sypalnię, kuchnię i jadalnię, choć i 10 osób jest, bo nas nie stać na obszerniejsze mieszkania, my nie możemy hodować tak wiele drobiu i bydła i tak dokładnie, bo nie mamy ani tyle miejsca, ani odpowiednich do tego środków i budynków wygodnych; my nie możemy pozwolić sobie nawet na święta kupić mięsa, a mimo to nikt nie ma za wiele. Trzeba najpierw fabryk, żebyśmy nie oddawali sił obcym, a potem szkół, ale nie takich jak u nas, gdzie dziecko wyszedłszy ze szkoły, nie wie że jest Polakiem i że jakaś Polska była i jest, pisać nie umie po 6-ciu latach (jak u nas w Biskupicach); to są marzenia, że lepiej będzie jechać choćby i do Ameryki, przysporzyć grosza, a potem wrócić i pracować w kraju, to moje zamiary. Oby mi Bóg pozwolił rychło doczekać się ziszczenia moich pragnień.

Zawiele się rozpisałam. Bardzo proszę Wnej Pani o łaskawe napisanie mi choć kilka słów, bo mi bardzo smutno tutaj. Całuję rączki, ze czcią zawsze wdzięczna

Marya Janik.

Handzlówka, 19 kwietnia 1907.

Szanowna Redakcyo!

Dzielę się z Kochanemi Siostrami miłą nowiną; oto w naszej wiosce podkarpackiej zawiązało się Kółko niewiast, złożone z kobiet i dziewcząt dorosłych.

Stało się to przed kilku laty. Jeden z naszych gospodarzy, który to od matki nauczył się starem ślabizem czytać a potem ździebłem pisać, odczuł potrzebę oświecenia kobiet a ponieważ miał po swej ręce ś. p. ks. Władysława Krakowskiego, prowadził wraz z nim, jako zastępcą, Kółko rolnicze. Przed paru laty uprosił ś. p. ks. Władysława Krakowskiego, jako przewodniczącego Rady szkolnej miejscowej, aby mu pozwolił zwołać zebranie kobiet, na co tenże chętnie się zgodził. Odbywały się też zgromadzenia kobiet raz lub dwa razy w roku. Tak było przez kilka lat. W tym roku kobiety same odczuły potrzebę zawiązania Kółka niewiast. Zaprosiły Franciszka Mogrysia na Zgromadzenie dnia 2 lutego b. r. Tenże w ciepłych słowach zachęcił je do samodzielności, zaznaczając, że od kobiet wiele żądają a mało im dają nauki. Żądają, aby kobieta była pobożną, gospodarną, oszczędną, ochędożną, cnotliwą, moralną, dobrą żoną, dobrą matką i t. p. Do tego wszystkiego trzeba bardzo wiele nauki, oświaty i wiedzy. Gospodarstwa drobnieją, mężowie wychodzą do Prus, do Węgier, do Ameryki a gospodynie zostają same z dziećmi na gruncie; mają wprawdzie całe gospodarstwo, małe czy większe, a nieraz kobieta zostaje w domu, więc powinna uczyć się samodzielności w prowadzeniu gospodarstwa nietylko w domu ale i poza domem. Wiele to kobiet narzeka na biedę, że niema dać co krowinie i czem wyżywić dzieci a jednak gdyby miała naukę, potrafiłaby biedzie zaradzić.

Po tem przemówieniu wpisało się do Kółka 30 kobiet na członków i złożyły po 20 halerzy na gazetki i książeczki. Wybrały przewodniczącą Maryannę Rajzerówną, zastępczynią Julię Cwynarównę, sekretarką Magdalenę Lenarówną, która była w szkole gospodyń wiejskich i na kursie nauki guzików we Lwowie. Ustanowiły odbywać zebrania w drugą i czwartą niedzielę w miesiącu; oprócz wpisanych na zebranie schodzi się drugie tyle czytając gazetki, jak „Przodownicę“, „Zorzę“, „Gazetę niedzielną“, o gospodarstwie, chowie bydła, trzody chlewnej, drobiu, o wychowaniu dzieci, o hygienie, powiastki z historyi Polski. Zebrania kończą się śpiewem pieśni narodowych.

W dniu 25 marca b. r. w święto Zwiastowaniu Matki Boskiej, zebrało się wiele kobiet i dziewcząt, była pełna sala szkolna. Że to były imieniny przełożonej Kółka, Maryanna Mogrysiówna wygłosiła następujący wiersz:

Radość wielka w naszem gronie,
I serce radością płonie,
Gdyż Twe Imieniny
Dzisiaj obchodzimy.
Nasza Przełożona,
Wobec tego grona
Życzy ci radości,
Wszelkiej pomyślności.
Żyj w najdłuższe lata,
Niech się wieniec splata
Z narcyz, tulipany,
Marysi kochany.
Niech ci szczęście służy
W zdrowiu jak najdłużej,
Byś nam przewodziła,
Wszystkie zgromadziła
Niewiasty z tej wioski,
Aby koić troski
Życia codziennego,
A chronić się złego.
Po Bożemu żyć,
Dobrą zawsze być.
Najświętsza łaskawa,
Otuchą napawa,
Matka Zwiastowania
Od złego ochrania
Nasze zgromadzenie
Tegoć życzę ninie,
Niech w każdej godzinie
Płynie szczęścia splot
Z niebieskich wrot.

Przełożona podziękowała za urządzoną jej owacyę, mimo, że jeszcze niczem na nią nie zasłużyła, a w przemówieniu swojem wyraziła życzenie, żeby wszystkie niewiasty zrozumiały wielkie swoje zadanie i garnęły się do nauki i oświaty tak bardzo im potrzebnej.

Potem Franciszek Mogrys przemówił o sadzeniu warzyw, o nawozie potrzebnym pod pod warzywa, o którym powinny kobiety pamiętać i umieć go szanować; mówił, że kobiety na mniejszych gruntach powinny się zająć rydlową uprawą warzyw. Mówił jeszcze o chowie drobiu tanim sposobem, o budowie kurników, że kobiety nie powinny dopuścić

aby drób męczył się pod piecem w izbie, jak to było do tego czasu, że chcąc mieć korzyść z drobiu, trzeba odpowiedniego miejsca i pożywienia.

Po odśpiewaniu pieśni patryotycznej „Królowo Polski módl się za nami“, zebrane kobiety rozeszły się do domów.

Dzieląc się tą wiadomością z Kochanemi Siostrami, pragnę zachęcić je do zakładania po wioskach Kółek kobiet, w celu wzajemnego kształcenia się, tak potrzebnego naszym kobietom i dziewczętom, aby umiały być dobremi gospodyniami, zacnemi matkami, aby przez oświatę przyczyniły się do podniesienia dobrobytu. *F. Mogrys.*

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Przypomnienia gospodarskie i ogrodnicze na miesiąc czerwiec.

Niepamiętne od wielu lat opóźnienie wiosny, a wskutek tego i rozwoju roślin, nie pozwala na ścisłe stosowanie się do przepisów, co w którym miesiącu powinno być w ogrodzie zrobione — my podajemy przypomnienia na rok normalny, w tym anormalnym jednak roku wiele robót kwietniowych trzeba wykonywać w maju, a niektóre majowe odłożyć na czerwiec; to też każda gospodyni musi odpowiednio do możności, sama osądzić, co kiedy zrobić należy — z góry, stanowczego przepisu dać nie można, tem bardziej, że prawdopodobnie wiosna nas w tym roku ominie, gdyż po zimnach obecnych może przyjść odrazu lato wraz z upałami.

W zwykłym roku w czerwcu bywa już prawie wszystko zasiane i poflancowane, siejemy tylko co 2 tygodnie, tak jak to robimy od początku wiosny, rzodkiewkę, sałatę i groch na zielono. Najważniejszą czynnością jest obecnie w ogrodzie i polu, okopywanie, plewienie, podlewanie, tępienie chwastów i owadów szkodliwych, żeby im się nie dać mnożyć.

W początku miesiąca można jeszcze flancować późną kapustę, jesienne kalafiory, jarmuż i cebulę. Siać rzepę letnią i zimową. Szparagi wycinać do 24-go, potem zaprzestać; zagony doprowadzić do porządku i zaflancować na nich kapustę lub kalafiory i obsiać rzodkiewką. Ziemniaki w polu i ogrodzie okopywać, również buraki i kapusty wcześniej posadzone plewić; pszenicę, proso, len, konopie, mak. Groch i fasolę okopać i tyczki założyć. Wysadki na nasienie okopać, starannie poprzywiązywać, słabe pędy powycinać. Pomidory wczesne okopać i palikować a czubki poskracać, późne można jeszcze flancować. Ogórki i banie okopać, przerwać i w czasie upałów mocno podlewać, ale zawsze przed wschodem i po zachodzie słońca. Marchew i pietruszkę przeorywać, gdzie za gęsto. Truskawki i poziomki podbierać codziennie w miarę dojrzewania. Przypinać wąsy na flance. Przygotować ziemię, jeżeli kto ma zamiar nowe zakładać.

Drzewa owocowe, nim zakwitną, spryskać całe cieczą bordoską. Spulchnić ziemię około drzew i co parę tygodni podlać rozcieńczoną gnojówką. W szkółkach przewodniki poprzywiązywać, dzikie pędy wycinać.

Zbierać agrest, porzeczki, maliny w miarę dojrzewania.

Na czereśniach i wczesnych wiśniach ustawić strachy na wróble.

Chwasty wyrywać i wycinać w polu i ogrodzie, żeby nie dopuścić do dojrzenia nasion. Podjadki (turkucie) zbierać i niszczyć, również liszki na drzewach, krzewach i kapuście, szczególniej zaś tępić wszelkimi sposobami chrabąszcze.

W czerwcu bydło idzie już na dobre w pole, na obfitą zieloną paszę — uważać, żeby się nie wzdęło — mieć zawsze w domu środki przeciw odęciu.

Stajnie, chlewy, kurniki bielić dla wyniszczenia much.

Wogóle wszelkie murowania i lepienia około domu i gospodarskich budynków najlepiej robić w czerwcu, gdyż na długim dniu najlepiej schnie. *K. P.*

Wzdęcie u bydła. Z końcem maja a początkiem czerwca, kiedy zapasy paszy zimowej wyczerpane lub na wyczerpaniu, cieszymy się, gdy bydełko nasze idzie na paszę zieloną. W tej jednak upragnionej zielonej paszy czyha często na nie niebezpieczeństwo groźnej choroby, na którą corocznie wiele sztuk ginie, zwanej wzdęciem lub odęciem — u koni nazywamy ją kolką.

Każdy prawie gospodarz i gospodyni mieli już do czynienia z tą chorobą, wiedzą, jak ona jest gwałtowna i niebezpieczna, i znają

różne przeciw niej środki — że jednak nie wszystkie owe środki są racyonalne, a niektóre wprost okrutne i barbarzyńskie względem bydlęcia, przeto podajemy tu sposoby wypróbowane wieloletnią praktyką, racyonalne a oparte na radach takiej powagi, jak dr weterynaryi Haubner.

Nim jednak zaczniemy mówić o sposobach leczenia, zastanowimy się wpierw, dlaczego po zielonej paszy powstaje wzdęcie i jak od tego krówkę swoją zabezpieczyć.

Wiemy wszyscy, że tak u człowieka, jak u bydlęcia, po spożyciu pewnych pokarmów, wytwarzają się w żołądku i kiszkach gazy, mające bardzo nieprzyjemny zapach (siarkowodór, węglowodór i inne w różnych stosunkach i połączeniach). Gazy, wytworzone w niewielkiej ilości, odchodzą naturalnemi drogami bez bólu, a nawet często bez zwrócenia uwagi — inaczej rzecz się ma, jeżeli wytworzy się ich za wiele, a jeszcze, jeżeli drogę do odejścia mają zagrodzoną, wtedy parcie ich na wnętrzności jest niewypowiedzianie bolesne, a wskutek rozprężliwości gazów tak silne, że aż nieraz pod ich naciskiem żołądek lub przepona pękają i następuje śmierć.

Człowiek ma rozum, więc się zabezpiecza od podobnej choroby, powstrzymując się od jedzenia pewnych pokarmów, choćby mu nawet one smakowały, ale co innego bydle bezrozumne. Wprawdzie i ono ma ten instynkt — jak my to nazywamy — i niektórych roślin jeść nie chce, są to jednak na ogół takie rośliny, których smak lub zapach zraża bydlę, ale niech się dorwie smacznej i słodkiej koniczynki, a zwłaszcza na głodny żołądek, to już bydlę, jak to bydlę, nie zna miary, je chciwie, połyka masami, zapycha się, a gazy w cieple żołądkowem natychmiast zaczynają się wytwarzać (zwłaszcza jeśli pasza była mokra) w tak wielkiej ilości, że rozdymają wnętrzności, rozsadzają je, i jeżeli nie udzielić natychmiastowej energicznej pomocy, bydlę ginie w strasznych cierpieniach.

Poznawszy powody choroby, łatwo wywnioskujemy, co robić, żeby bydlę od niej ustrzedz, a więc: Nie wpuszczać nigdy bydła ani owiec na obfitą, zieloną paszę po deszczu, rosie lub szronie, czy to paszą będzie wyka, czy lucerna, czy bujna trawa, czy koniczyna, ta ostatnia, a zwłaszcza czerwona, jest najniebezpieczniejsza.

Przyzwyczajać bydło powoli do zielonej paszy, a wypędzając po raz pierwszy, nakarmić wpierw bydło w oborze, żeby jej nie dostało na głodny żołądek. Tak samo, zadając w oborze po raz pierwszy skoszoną zieleninę, dać wpierw suchej paszy. Nie zadawać nigdy zielonej paszy, jeżeli, leżąc na kupie, zagrzała się. Nie zadawać nadpsutych lub fermentujących liści lub korzeni okopowizn. Nie dawać pić krowom zaraz po jedzeniu.

Pamiętajmy o zasadzie, którą jeden z najznakomitszych gospodarzy kazał wydrukować i umieścił na tablicach nad wszystkiemi oborami i stajniami: „Lepiej zabezpieczać niż leczyć“.

Znakomitym też środkiem zapobiegawczym jest wsiewanie w koniczynę lub inną pastewną roślinę kminku, który odrazu działa leczniczo, pomagając gazom do szybszego odejścia. Czasami jednak, mimo wszelkich ostrożności, wzdęcie się przytrafi, czy to bydle pasie się, idąc pod wiatr, czy raptownie napije się wody, czy wpadnie przypadkiem na mokrą koniczynę lub tym podobne — ratunek wtedy powinien być bardzo szybki i energiczny — w pierwszej chwili łatwiej ratować, gdy spóźniony ratunek często już jest daremny. Poznać wzdęcie można odrazu: krowa przestaje jeść, nadyma się, szybko oddycha, lewy bok ma widocznie wzdęty, który przy opukaniu wydaje odgłos bębna, a z wielkiego bólu chwieje się na nogach. Spostrzegłszy to, natychmiast założyć krowie w pysk powrósło, na którem są nawiązane grube pęki, żeby zamknąć gęby nie mogła (takie powrósła powinny być całe lato naszykowane, umieszczone w widocznem miejscu. Po zamocowaniu powrósła wpędzić szybko krowę do wody lub polewać wodą zimną brzuch i grzbiet, uciskając jednocześnie mocno i równo obu rękami lewy bok. Gdy to wszystko nie pomaga, przepędzać krowę jak można najprędzej. Wlać w gardło litr wody z dwiema łyżkami amoniaku lub jedną łyżką niegaszonego wapna. Prócz tego dać łyżkę olejku skalnego lub terpentynowego z wódką. Środki te powinny być zawsze w domu, wapno trzeba przechowywać w suchej butelce, szczelnie zakorkowanej i ustawionej w suchem, ciepłem miejscu. W braku tych środków użyć, jaki jest pod ręką, środek pobudzający, a więc: napar kminku, rumianku, kopru, waleryany, ostatecznie parę litrów mocno osolonej wody.. Jeżeli kto ma rurę połykową, wpycha się ją krowie przez pysk aż do żołądka, rura taka jest bardzo pożyteczna, kosztuje 4 złr., ale

strata krowy kosztuje jeszcze więcej. Przy kupowaniu rury dają szczegółowe objaśnienia, jak ją użyć. W ostateczności użyć trokara, t. j. specyalnego sztyletu, którym przebija się lewy bok dla wypuszczenia gazów. Jeżeli nie ma trokara, a inne środki zawodzą, użyć do przebicia noża ostrego, szpiczastego i wązkiego, ale nóż obrócić w ranie, żeby obok gazy wyszły. Powtarzam, że trokara lub noża używa się tylko w ostateczności, gdyż już krowa widocznie słabnie, powinny one być przytem bardzo czyste. Jeżeli zaczyna się odbijanie i wiatry odchodzą — dobry znak, krowa będzie uratowana. Gdy upadnie na ziemię, nie ma się po co schylać, chyba, żeby ją dobić, gdyż wskutek upadku pęka żołądek i przepona, i już niema ratunku.

Jeżeli kuracya poszła pomyślnie, groźne niebezpieczeństwo usunięte, nie można krowy odrazu zaniedbać, ale jako rekonwalescentkę, mieć ją jeszcze przez pewien czas w ścisłej opiece lekarskiej, tembardziej, że wzdęcie łatwo się powtarza. Trzeba krowie dawać przez parę dni suchą paszę w niewielkiej ilości, a do picia dodawać kminku lub rumianku.

W razie używania noża lub trokara trzeba ranę przemyć wodą karbolową i zaszyć lub zalepić plastrem.

Konieczność poprawy w gotowaniu. Pewna kobieta, zapytana, czem przywiązała do siebie męża, który wciąż jednakowo ją kocha, a pobyt w domu przekłada nadewszystko, odpowiedziała:

„Gdym była młoda, zdobyłam jego serce, bom starała się mu podobać: nigdy nie widział mnie nieumytą, rozczochraną, w brudnej bieliźnie lub odzieży, co najładniejszą nawet kobietę wstrętną czyni, a postarzawszy się dogadzałam mu w jadle, smacznie i zdrowo gotując, oraz utrzymując porządek i nigdzie mu się tak nie podoba, jak u siebie w chałupie i żeby odjechał Bóg wie dokąd, spieszy do domu, jak byśmy się wczoraj pobrali.

Należy przyznać, że gospodyni ta mówiła prawdę; nic kobiety nie może bardziej zohydzić, jak niechlujstwo, a nic więcej nie gniewa męża, jak po ciężkiej pracy marnie przyrządzony i brudny posiłek, którego widok wzbudza w nim obrzydzenie raczej niż apetyt. Gospodarz, siadłszy do stołu z chęcią posilenia się, zamięsza w jadle, sprobuje je, a jeśli bardzo łagodny, wstanie od miski, i pójdzie głodny do roboty; jeżeli zaś jest gwałtowniejszego usposobienia, nawymyśla, naklnie, rozbije naczynie nieraz o łeb kucharki i wali prosto do piwiarni na drogi i lichy posiłek, aby głód zaspokoić.

Niejedna gospodyni powie na swe usprawiedliwienie, że to grymasy, bo każdy powinien jeść co Bóg dał, i nie przebredzać. Jadaliśmy tak i gotowali tyle czasu, to i nadal możemy.

Prawda, a nawet dawnemi czasy było jeszcze gorzej.

Ludzie nie znali kartofli, nie znali pytlowej mąki, cukru, herbaty, kawy i wielu innych rzeczy, a jednak żyli. Bywało, że nasi przodkowie nie jadali chleba, lecz żywili się surowem mięsem, bo i ognia nie umieli rozniecić, a jednak żyli. Czy obeszlibyśmy się bez kartofli codziennie, bez szklanki herbaty choć czasami, bez ognia? Dawniej odziewano się w kożuchy i zgrzebne płótno, a dziś jakie mamy wymagania. Swojskiej roboty koszula zdaje się nam za grubą, sukmana za ciężką.

Czas idzie, ludzie poznają nowe materyały. nowe sprzęty, nowe sposoby budowania, nabierają nowych potrzeb, a więc i smak doskonali się i żołądek delikatnieje. Ludzie badają i dowiadują się, jaka pasza lepiej odżywia bydlę, i jaki pokarm lepiej przyczynia się do zdrowia człowieka. Dlaczegóżbyśmy, starając się dogodzić zwierzętom, obojętnymi być mieli na odżywianie własnej rodziny?

Czy można wychować prosięta bez mleka matki? Na pytanie to nie można odpowiedzieć bezwzględnie twierdząco, ale że wychów prosiąt jest możliwy, stwierdza przykład z praktyki podany w czasopiśmie rolniczem „Deutsche Landwirt. Tierzucht“. Starsza już locha urodziła 11 zdrowych prosiąt, była jednak tak osłabioną, że trzeba ją było zabić, poczem nie myśląc o pomyślnym skutku spróbowano prosięta wychować. Umieszczono je w oborze w skrzyni, którą przykryto ogrzaną owczą skóra i gdy były głodne, podano im na wielkim półmisku porcelanowym, przegotowane mleko krowie, zmieszane z przegotowaną wodą; mleko takie podawano z początku co godzinę. Prosięta piły mleko bardzo chciwie. Dla zapobieżenia tworzeniu się kwasu, półmisek po każdorazowem karmieniu dobrze myto, skórę owczą często osuszano i zaraz po nakarmieniu przykrywano nią prosięta. Prosięta wyglądały bardzo dobrze, nie potrzebowały już po 14 dniach żadnego przykrycia i spijały tak dużo mleka, że po dwóch tygodniach musiano pomyśleć o częściowem

zastąpieniu go czemś innem. Do tego użyto gotowanego jęczmienia, który prosięta jadły bardzo chętnie. Przy takiem sposobie wychowu, prosięta rosły tak dobrze, że mając pięć tygodni, prześcignęły w rozwoju inne prosięta, nieco starsze, a karmione przez matkę i po sześciu tygodniach zostały sprzedane po najwyższej cenie, jaką można było osiągnąć na targu.

Zbiór ziemniaków na całej kuli ziemskiej wynosił w roku 1906 okrągło 1.360 milionów cetnarów. Samo państwo niemieckie wyprodukowało trzecią część tej ilości ziemniaków, bo 483 milionów cetnarów, Rosya 254, Austro-Węgry 210 milionów. czyli prawie jedną szóstą, inne państwa znacznie mniej, tak n. p. w Ameryce, macierzystym kraju ziemniaków, zebrano ich tylko 80 milionów metrycznych cetnarów.

Oset jako pasza dla koni. Na wiosnę zmienia się często koniom paszę, co bardzo korzystnie na ich zdrowie wpływa. W wielu miejscowościach dodają rolnicy do zwykłej karmy oset polny, który pomimo kolców konie bardzo chętnie zjadają, a prawdopodobnie z tego powodu, że listki i korzonki zawierają dużo cukru. Młody oset, zadawany w dostatecznej ilości, stanowi nietylko dobry pokarm dla koni, ale działa korzystnie na trawienie żołądka. Również i w miastach zagranicznych żywią konie wierzchowe, powozowe i wojskowe młodym ostem, tak, iż rolnicy osiągają tam nawet za niego pewną cenę, która im opłaci pracę poniesioną przy wydobywaniu. Z drugiej strony oczyszczają sobie pole z tego szkodliwego chwastu. Dlatego też powinni gospodarze zrobić próbę z żywieniem koni ostem polnym, a z pewnością przekonają się, jak chętnie będzie zjadany i jak dobrze na zdrowie wpływa.

Zużytkowanie tataraku. Tatarak, zwany „sasyną“ w niektórych stronach, rośnie bujnie na podmokłych brzegowiskach Białej, Dunajca, i Wisły. Właścicielowi mokradeł żadnego nie przynosi pożytku, chyba ten, że podczas Zielonych Świąt służy do umajenia domu. Tymczasem ziele to zebrane i osuszone należycie mogłoby być spieniężone w aptekach, drogueryach, fabrykach pachnideł, a nawet w cukierniach.

Korzeń tataraku obfituje bowiem w olejki lotne, które w medycynie i przemyśle rozliczne mają zastosowanie. Maj i czerwiec to najlepsze dla zbioru tataraku miesiące, później bowiem w miarę, jak wybuja w liście, korzeń utraca na sile, a więc traci ten właśnie olejek eteryczny, który jest tak poszukiwany.

Przygotowanie tataraku do sprzedaży odbywa się w następujący sposób. Korzenie wyrwane z bagna, opłukuje się w wodzie, aby oczyścić je z błota, poczem obcina się nożykiem poboczne włókniste (cienkie) korzonki, tak, aby pozostał tylko sam mięsisty korzeń główny. Z niego zeskrobać trzeba lekko i ostrożnie tępem narzędziem tę ciemno-brunatną powłoczkę, jaką korzeń jest powleczony, ale tak uważnie, by nie naruszyć miążku.

Tak oczyszczony korzeń suszy się w ten sposób jak siano, to znaczy: rozsypuje się go i przerzuca, by miał przewiew powietrza. W razie słoty suszyć trzeba na boisku lub w szopie, ale przy otwartych drzwiach i na deskach, aby się nie powalał. Gdy korzeń jest już tak suchy, że da się łamać, można go nieść na sprzedaż, zarabiając po kilkanaście koron za cetnar takiego chwastu, którego uprawa nic nie kosztuje. a na przygotowanie którego tylko nieco dobrych chęci potrzeba.

Przez wyrywanie tataraku oczyszczałoby się powoli bagna, które możnaby potem bądź to zamienić w stawy i zarybić — bądź też osuszyć i pod orkę użyć.

Podłoga chlewu powinna odstawać od ziemi przynajmniej $1/_2$ — 1 stopy, raz dlatego, żeby płyny łatwo ściekać mogły, powtóre dlatego, żeby legowisko świń mniej uczynić zależne od temperatury ziemi i po trzecie, żeby stosownie do potrzeby mieć możność ochładzania lub ogrzewania chlewu z tej strony. W przedniej ścianie urządza się drzwi; powinny one być szerokie na $2^1/_2$ — 3 stóp, a wysokie $3^1/_2$ stóp, aby świnie wygodnie mogły przez nie przechodzić. Drzwi robią zwykle na wysokości 1—$1^1/_2$ stopy od ziemi. Tak wysokie progi nie są stosowne dla drogich świń, przedewszystkiem dla ras małych szlachetnych, albowiem podczas przechodzenia przez nie, świnie prośne mogą łatwo uledz uszkodzeniu; w nowych więc budynkach nie należy robić tak wysokich progów, a w starych trzeba ułatwiać przejście przez nie — zapomocą mostków lub nasypów.

ROZMAITOŚCI.

Konfiskaty i zakazy w Prusiech. Z Poznania donoszą, że policya tamtejsza zakazała sprzedaży dwoch seryi pocztówek ilustrowanych: 12 kart z ilustracyami H. S. Wolskiego do „Katedry na Wawelu", Edmunda Wasilewskiego i 15 z ilustracyami według Artura Grottegera (wydawnictwo Salonu malarzy polskich w Krakowie).

Dalej zakazano wałków gramofonowych pewnej firmy francuskiej, gdyż dają tekst i melodyę zakazanych pieśni: mazurka Dąbrowskiego, hymnu Felińskiego i chorału Ujejskiego.

Wreszcie ogłoszono w „Reichsanzeigerze", iż po wydaniu przeciwko „Biesiadzie Literackiej" i „Dziennikowi Polskiemu" w ciągu roku dwóch wyroków prawomocnych (sądów ziemiańskich w Ostrowiu i w Poznaniu), zakazuje rozpowszechniania wymienionych czasopism w państwie niemieckiem w ciągu lat dwóch.

Ile Niemcy używają alkoholu? Uczony niemiecki dr Bonne-Flobbeck przedstawia spustoszenie, jakie alkohol czyni w Niemczech, w następujących, aż nazbyt wymownych cyfrach: Niemcy wypijają corocznie 3 miliony 500 tysięcy hektolitrów wódki, w czem jest około 100 milionów kilogramów alkoholu; 320,000.000 litrów wina, zawierającego około 3,000.000 kilogramów alkoholu; 5,000.000 hektolitrów piwa, w których jest około 2,000.000 kilogramów alkoholu. Z uprawionej ziemi całego obszaru Niemiec: 577.187 hektarów, czyli 2,308.748 mórg wysługuje się produktom przetwarzanym na wódkę; 120.935 hektarów, czyli 483.740 mórg pod uprawę wina i 1,081.418 hektarów, czyli 4,325.672 mórg pod uprawę piwa! Wszystkiego razem: 1,779.540 hektarów, czyli 7,118.160 mórg wysługuje się alkoholowi. To jest piętnasta część wszystkiej uprawionej ziemi całych Niemiec — jedna trzydziesta druga część całego obszaru państwa Niemieckiego! Niemcy wydają corocznie 5 miliardów marek na upajające trunki — to jest tyle, co na wszystkie wydatki całego państwa podług etatu, oraz tyle, co na zboże chleb, mąkę i kartofle razem wziąwszy.

Tortury w więzieniach rosyjskich przed zebraniem Dumy. Wielkie wrażenie zrobiło w Dumie sprawozdanie komisyi posła Pergamenta w sprawie tortur stosowanych w więzieniach w Rydze i innych miastach nadbałtyckich. Pomocnik ministra spraw wewnętrznych Makarow, przyznaje wśród wielkiego poruszenia że referat ten w głównych punktach zgadza się z prawdą i oświadcza, że minister spraw wewnętrznych poczynił już odpowiednie kroki, aby winnych pociągnąć do odpowiedzialności; żeby sobie zupełnie jasny sąd o zajściach tych wyrobić, trzeba odczekać wyniku śledztwa. Z referatu Pergamenta podaje osobny telegram następujące wyjątki: Z początkiem ekspedycyi karnych do prowincyi nadbałtyckich rozpoczęło się także torturowanie więźniów, aby wymusić na nich zeznania, któreby wystarczyły do rozstrzelania. W Rydze utworzono w tym celu osobną komisyę. składającą się z pomocnika szefa tajnej policyi i kilku komisarzy policyjnych i agentów. Komisya ta była zaopatrzona w specyalne instrukcye od prokuratoryi i komendy żandarmskiej, a gubernator nadał jej prawo zabijania więźniów bez wyroku. Wyższe władze wiedziały o torturach, jakim poddawano więźniów. Pewnego więźnia powalił komisarz policyjny na ziemię i tak długo kopał go nogami w piersi, aż mu wszystkie żebra połamał; przez kilka dni cierpiał nieszczęśliwy okropnie, nie mogąc przyjmować żadnego pożywienia, w końcu go rozstrzelano. Innego tak długo bito w łydki, aż mu ciało od kości odpadało.

Więźniów torturowanych, którzy nie umarli a których ran nie można było wyleczyć, rozstrzeliwano w pobliżu więzienia. Kobietom wyrywano celem zeznania paznogcie i włosy, często łamano także ręce i nogi. Jednego więźnia bili dwaj kozacy knutami tak, że cała podłoga była pokrwawiona. Inny więzień padł pod razami knutów i sztab żelaznych półmartwy na ziemię, a oprawcy sypali mu w rany sól, aby je jeszcze rozognić. Innego znowu położono na ławkę, a na niego w poprzek deskę, na której dwóch policyantów balansowało tak długo, aż mu złamali kość pacierzową, poczem go rozstrzelano. Władze policyjne organizowały tortury te z urzędu,

Spadek cen za pracę w Ameryce. Inżynier Modest Maryański, przebywający od kilkunastu lat w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, zwrócił naszą uwagę na znaczne obniżenie płacy robotników w Ameryce, a na dowód swych słów nadesłał wycinek z pisma

„Commercial Advertiser". Pismo to tak pisze: „Dwa lata temu robotnik kolejowy był płacony dziennie najmniej 1.50 dolara, a obecnie znacznie mniej. (Dolar równa się według kursu, 4·90 K. Wedle tego przeliczyć sobie trzeba na Korony wszystkie płace, podane poniżej w dolarach).

Włosi, Polacy. Litwini, Słowacy, Rusini, nawet Grecy i Kroaci napływają w tak wielkiej liczbie, że nietylko w Nowym Yorku, ale nawet w Chicago, Saint-Louis, Kansas, i San Francisco płaca spadła więcej niż 33 proc.

W Pittsburgu przed dwoma laty, prosty, zdrowy robotnik mógł otrzymać do 2·50, obecnie płaci się od 1·25 do 1·50, a w stalowniach gdzie niebezpieczeństwo jest nadzwyczaj wielkie, prostym robotnikom płacą od 1·40 do 1·60 dolara".

Oprócz wielkiego spadku płac dziennych pamiętać i o tem jeszcze trzeba, że ceny za produkta spożywcze w przeciągu ostatnich 3 lat podskoczyły przynajmniej o 30 procent w górę. Wiadomości podane przez nas, potwierdzą z pewnością listy wychodźców amerykańskich, pisane stamtąd do kraju.

Z zaboru pruskiego. „Lech" gnieźnieński donosi: Orzeł z ciasta, którego w towarzystwie dwóch tortów niesiono w niedzielę na czele pochodu piekarzy, urządzających w dniu tym majówkę, okazał się tak niebezpiecznym, że policya kazała go usunąć. Widocznie dopatrzono się w nim znaku narodowo-polskiego i myśli przyszłego zwycięstwa orła białego nad orłem czarnym.

W drugie święto Zielonych Świąt nawiedziła Księstwo Poznańskie klęska gradowa. W kilku stronach grad dochodził do wielkości kurzych jaj. W okolicy Strzelna, niektóre bryły lodu ważyły podobno do 50 gramów. W okolicy Kępna grad poczynil wielkie szkody. W samem mieście wybił mnóstwo okien składowych i szyb, także w kościele. Wielkie spustoszenia poczynił grad w okolicy Łabiszyna. Wielki grad spadł również w okolicy Torunia.

Ofiary strejku szkolnego. Za rzekome podburzanie do strejku szkolnego skazany został onegdaj przez pruski sąd karny w Krotoszynie w Poznańskiem ks. proboszcz Rejewski z Jankowa na 100 marek kary.

OD REDAKCYI.

O natychmiastowe doniesienie nam, czy Szanowna Czytelniczka przybędzie do Krakowa na 29 czerwca b. r. upraszamy bardzo — gdyż odwrotną pocztą przeszlemy Szanownej Pani programy i objaśnienia tyczące się warunków pobytu w Krakowie.

OD ADMINISTRACYI.

Zawiadamiamy Szanowne Czytelniczki i Czytelników „Przodownicy", że tym, którzy dotąd nie zapłacili należnej prenumeraty za gazetkę, przesyłać jej nie będziemy, począwszy od lipca b. r. — Upraszamy przeto o jak najrychlejsze przesłanie przedpłaty.



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera w Krakowie.



Pastuszek.

Dodatek do Nru 6 „Przodownicy“ z roku 1907.

Baśń

o biednej wdowie, o jej synu i listku paproci.

Był to piękny dzień czerwcowy. Róże i jaśminy zwieszały się ciekawie ponad mury ogrodów, spoglądając w ulice...

Koło domów przesuwała się chwiejnym krokiem jakaś ciemna postać.

Kryła się ona w najczarniejsze cienie, obawiała się jasnych promieni słońca, bo była obrazem nędzy.

Była to wdowa po jakimś biedaku, a dziecię jej jedyne leżało śmiertelnie chore z głodu i nędzy. Dziś rano żebrała u marmurowych schodów królewskiego pałacu, ale tak wstrętny widok przedstawiały jej obrzydłe łachmany, że bogato przybrana straż pałacowa odpędziła ją naprzód brutalnym śmiechem — potem surową groźbą — więc powlokła się dalej i żebrała dalej. Nikt nie troszczył się o nią, nikt nie miał czasu na to, był to bowiem dzień wielkiego święta, jeden z takich dni w którym ludzie radziby okrzykami radości wygnać wszystką nędzę precz ze świata.

Dlatego unikano wdowy, jakby zapowietrzonej, dlatego usuwały ją straże z drogi, jak wszystko coby mogło w dniu tym oko obrazić lub zasmucić — kryła się zatem w cieniu.

Dzwony biły uroczyście, ptaki wyśpiewywały miłośnie, a ludzie szaleli z radości. Ulice były usłane kwiatami, po szarych murach domów i pałaców wiły się zielone wieńce, kosztowne materye, przerabiane złotem i srebrem; był to bowiem dzień zaślubin uroczej, młodej królowy tego kraju.

Coraz radośniej dźwięczały dzwony, głośniejszy odgłos trąb napełniał powietrze, kopyta rączych koni, złotem podkutych, rozlegały się na ulicach.

W oknach cisnęli się ludzie. Piękne strojne panie wychylały się ponad gzymsy okien rzucając róże... inne podnosiły swoje dzieci w górę... dzieci, które były tak piękne i świeże jak róże — i jeszcze od róż piękniejsze. A kiedy biedna wdowa słyszała jak się dzieci głośno śmieją i klaskają w utuczone różowe rączki, było jej bardzo ciężko na sercu — bo pomyślała o swoim chorym synku w domu, więc westchnęła tylko boleśnie:

— Gdyby to moje dziecię było tak zdrowem i świeżem i tak się śmiało radośnie...

Coraz więcej przybliżał się odgłos trąb, głos królewskich urzędników utrzymujących porządek dolatywał wyraźniej, strojni dumni giermkowie z podniesionem czołem, lekkim krokiem przechodzili ulicą, a suknie na nich lśniły od srebra i złota.

Wtedy uczuła wdowa, jakby ją coś w serce głęboko ukłuło i westchnęła:

— O gdyby to mój biedny synek mógł być tak pięknym i dumnym jak oni!..

Naraz głośniejszemi stały się wołania straży i dworaków, hałaśliwszą radość tłumów, gęściejszy deszcz spadających z okien kwiatów napełnił wonią powietrze.

W złocistej karecie, zaprzężonej w sześć śnieżnobiałych rumaków, nadjeżdżała nowo zaślubiona para, piękna wstydliwa oblubienica i rycerski, śmiały oblubieniec, oboje owiani czarem najwyższej ludzkiej szczęśliwości.

Wówczas pociemniało przed oczyma wdowy, przycisnęła schudzone ręce do piersi i westchnęła:

— O gdyby to mój syn mógł być tak szczęśliwym jak oni!

Pochód przeciągnął — okna się wypróżniły, ulice opustoszały, a tylko róże, jaśminy i ptaki ukryte na gałązkach, szeptały pomiędzy sobą o tem, co widziały na ulicach. Nic więcej nie pozostało z całego weselnego przepychu, jak tylko kilka zdeptanych kwiatów leżących na ziemi. Wtedy wysunęła się biedna wdowa z ukrycia i poszukała między kwiatami takich, które jeszcze nie były zupełnie zniszczone. Podniosła dwie róże i jeden świeży jeszcze liść paproci, by je zanieść swemu choremu dziecku — poczem się powlokła znużona do domu.

Tam w wilgotnych sklepionych suterenach, ponad wązką bagnistą uliczką — tam — leżało jej dziecię, blade i wychudłe, z sinemi

usteczkami i osłupiałemi oczkami — umierające... Kiedy usłyszało, że matka nadchodzi, próbowało wyciągnąć do niej wychudłe rączęta, ale nie mogło — a kiedy mu róże do kolebki rzuciła, ściągnęło usteczka i chciało się uśmiechnąć, ale nie mogło... Biedne dziecię... biedna matka...

Śliczny listek paproci włożyła do kubka napełnionego wodą, by dziecię jej miało trochę zieloności, gdyż nigdy nie widziało lasu. Z boleścią przypomniała sobie baśń o paproci, która ma kwitnąć raz do roku i przynosić ludziom szczęście. Przypomniała sobie z żalem swoje trzy życzenia, których nikt nie słyszał...

— Ale czy nikt nie słyszał?.. Wdowa ze zdziwieniem spojrzała na listek, który w oczach róść począł, aż wyrósł w duży krzew, tak, że zasłonił sobą całe małe okienko i było jak w prawdziwym lesie. Z krzaku wyłoniła się jasna postać, pochyliła nad wdową i rzekła głosem słodkim, jak tchnienie poranku:

— Twoje trzy życzenia spełnią się, ale przy spełnieniu ostatniego umrzesz, — czy przystajesz na to?

— Ach przystaję! — wykrzyknęła matka z radością.

Świetlana postać zniknęła, a wdowa przylgnęła twarzą do wychudzonej twarzyczki swego dziecka, płakała z radości i usnęła.

Płakała z radości! Trzy wielkie łzy upadły na ubożuchną kołderkę w kołysce i leżały tam długo i nie wysychały wcale, ale stawały się coraz większemi i błyszczały coraz bardziej.

Kiedy wdowa raniutko otworzyła zmęczone powieki, ujrzała na kołderce trzy drogocenne kamienie, jeden był biały i przeźroczysty jak łza, drugi zielony, trzeci purpurowy, tak wspaniałe, jakich żadna królowa jeszcze na świecie nie posiadała.

Wdowa ucałowała swe dziecię, które jeszcze spało i pobiegła do złotnika. Ten pracował w swym ciemnym sklepie z pomocnikami. Kiedy obejrzał drogie kamienie, pokręcił zdziwiony głową i rzekł:

Jesteś bardzo szczęśliwą kobietą, nie widziałem w życiu swem piękniejszych kamieni. Książęcy majątek trzymasz w swych rękach.

Wtenczas kobieta sprzedała mu jeden z kamieni, biały — poczem pobiegła do lekarza w mieście i przyobiecała mu stos złota, jeżeli wyleczy jej dziecię. Lekarz nie dał się długo prosić, a na staraniach jego spoczywało tyle błogosławieństwa, że dziecię wkrótce było takiem pięknem, zdrowem i wesołem, jak dzieci w oknach i na krużgankach w dniu wesela młodej królowy.

Matka stroiła je w jedwabie i aksamity, i kazała kształcić w rozmaitych naukach i sztukach. Kiedy dziecię na chłopca wyrosło wzięła je najdumniejsza księżniczka w kraju za swego pazia.

Ale kiedy się piastuje znakomite stanowisko, musi się być i bogatym — dlatego też i drugi kamień szmaragdowy przeszedł w ręce złotnika.

Z pazia wyrósł młodzieniec — piękny, dumny młodzieniec. Jakże się też matka radowała.

Ale naraz jasne szczęśliwe jego oczy zamgliły się posępną chmurką, a uśmiech tęsknoty okalał często różowe, świeże jego usta.

Młodzieniec kochał... a ta, którą kochał, nie miała równej sobie wdziękami w całym kraju. Miała najciemniejsze oczy i najzłocistsze włosy, jakie tylko być mogą na ziemi i była księżniczką.

Wtenczas matka oddała swoją ostatnią łzę, purpurowy kamień, i zakupiła najpiękniejszą posiadłość w uroczej części kraju.

. . . .

Głos dzwonów rozlegał się w powietrzu, a słodki zapach kwiatów przepełniał parny dzień czerwcowy, jak wówczas w dniu zaślubin młodej pięknej królowy.

Wesele się skończyło — młoda para wsiadła do złocistej łodzi i płynęła ku ukrytemu w zieleni zamkowi. Nad brzegiem cisnął się tłum ludzi — dumni rycerze zazdrosnem okiem ścigając szczęśliwych nowożeńców, stare kobiety, które z westchnieniem goniły pamięcią niepowrotne chwile młodości i młode dziewczęta, których serca biły tak głośno, że aż podnosiły białe ich łona, a oczy błyszczały tęsknotą niewypowiedzianą. Oparta o marmurową cysternę (studnia) stała także wdowa.

Ptaki wyśpiewywały miłośnie — tłum radował się, a promienie słoneczne połyskiwały na falach pomiędzy różami, któremi była zasiana rzeka.

Wtenczas przypomniała sobie wdowa róże, owe róże, rzucone do kolebki dziecku — biednemu choremu dziecku, listek paproci i jego przepowiednię.

Opodal oto tam — złocista łódź z młodą parą pomyka po błyszczącej toni. Piękna młoda oblubienica i rycerski śmiały oblubieniec oboje owiani urokiem najwyższej ludzkiej szczęśliwości. Coraz chyżej pomyka łódź... już ją skryły kwitnące krzewy jaśminów i róż. Wtedy matka wyciągnęła ręce błogosławiąc — a głowa jej opadła na piersi.

Łódź zniknęła — dzwony dźwięczą jeszcze, oczy dziewcząt płoną — wonne róże płyną po falach, goniąc parę miłosną — kobiety cisną się wokoło szczęśliwej matki — chcąc ją obudzić z jej słodkich marzeń — ale matka — matka... umarła... *A. B.*

Siostra szpitalna.

W obozie pod Jędrzejowem wybuchła cholera. Powstańcy polscy leżą bezsilni i bez opieki, bo lekarze nie mogą podołać pracy. Któż odważy się pójść do obozu i nieść pomoc chorym?...

— Cholera jest zaraźliwa — mówią jedni.

— W obozie niebezpiecznie, w każdej chwili może się rozpocząć walka, gdzież się skryć wtedy? — powiadają inni.

Lecz oto dwie młode, piękne kobiety przybywają do obozu, obsługują chorych, podają leki, spełniają czynności bardzo niemiłe.

Jest to Klaudyna Potocka i Emilia Szczaniecka, dwie przyjaciółki, dwie opiekunki rannych, pocieszycielki smutnych.

Emilia Szczaniecka, młoda, bogata panna, nie wyręcza się służbą, nie rozkazuje drugim, co czynić mają, lecz sama służy i nie licząc swego trudu, nie zważając na niebezpieczeństwo życia, jest dozorczynią chorych, opiekunką rannych, pociechą zwątpiałym.

— O, pani dobra i szlachetna... — mówi ranny, wpatrując się w piękną twarz dziewicy — któż odpłaci ci za ofiarę?

— Żaliż tobie nie żal było porzucać piękny, wygodny i bogaty dwór, w którym wszystko czeka na twe skinienie, ażeby ci służyć, a czy wolałaś wejść tu między nas i w obozie spełniać posługi szpitalne? — szepce znów inny powstaniec i rękę Emilii do ust przyciska.

— Jesteś aniołem naszym, wołają inni. Lecz Emilia Szczaniecka odrzecze:

— Jestem szpitalną siostrą waszą. Nie ci są mymi braćmi, którzy zostali w wygodnych domach i spoczywają wśród zabaw, ale wyście braćmi, którzy dajecie Ojczyźnie i życie i krew, i zdrowie i siły.

Z obozu pod Jędrzejowem przeniosła się Emilia do obozu pod Ostrołękę. Kule grały straszną muzykę śmierci, ran, krwi i kalectwa, a Szczaniecka ani drgnęła, gdy rany obmywała, gdy omdlałych cuciła, gdy przy operacyi obecna była.

— Skąd w tobie tyle siły, mocy, wytrwania?...

— Jestem siostrą waszą! Bić się i walczyć nie umiem, ale umiem wam rannym rany obwiązywać i wam skrwawionym pomoc przynosić.

Czterech leży wśród mąk najcięższych, dwóch zostało bez rąk, jednemu obie nogi kula urwała, czterech ma oczy wypalone.

Cóż robi Szczaniecka?

— Zostaniecie moimi braćmi do końca życia, dom mój będzie waszym domem, chleb mój waszym chlebem.

I oto do swojej wsi, Pakosławie, pod Gomaniem, tych rannych sprowadza i opieką swą ich otacza.

Było to po 1831 roku, gdy się listopadowe powstanie ukończyło.

„Szpitalna siostra“ wróciła do dworu w Pakosławiu i opiekuje się rannymi.

Lecz cóż to za wyprawa pruskich żołnierzy i urzędników?

To zabierają Emilii jej majątek za to, iż była „czynna“ w powstaniu.

— Tak — odrzeknie Emilia — byłam „czynna“, ocierałam łzy, obmywałam rany, wodę dawałam omdlałym.

Rząd pruski prowadzi proces długi, Emilia jest skazana na 6 miesięcy więzienia, a majątek jej przejdzie na własność rządu.

— Niech się pani ratuje, niech się pani stara o ułaskawienie — doradzają znajomi.

— Następca tronu bawi teraz w blizkiej okolicy, proszę udać się do niego, błagać o miłosierdzie.

— Nigdy się przed wrogiem mej ojczyzny nie poniżę prośbą o łaskę! — odrzeknie Emilia. I nie prosiła o litość, aż wreszcie rząd sam zrozumiał, że nie ma jej za co karać.

Dano amnestyę Emilii. Wróciła do swego dworu i opiekowała się rannymi...

Aż nadszedł rok 1846. Wszystkie więzienia były pełne. Rząd pruski ostro i bezlitośnie karał tych, którzy chcieli być Polakami.

Któż to znów u drzwi więziennych czuwa? Kto chorym pomoc i pociechę przynosi?

Ach! to siostra więzionych, Emilia!...

— Gdzież twoje lata młodości, wesela, zabaw, uciechy?

— Czyż całe twe życie będzie tylko na

osłodę smutnych, chorych, więzionych i rannych?...

Przeszło dwa lata.

Rok 1848 ozwał się brzękiem broni i hasłem nadziei.

Rodacy nasi, którzy pod rządami pruskiego króla mieszkali, podnieśli broń, chcieli zdobyć wolność.

Polała się krew, a przy rannych oto znów szpitalna siostra, Emilia Szczaniecka, jak anioł opiekuńczy.

— Więc nigdy dla ciebie, kobieto polska, nie zakwitną kwiaty radości i nie zadzwonią śpiewy wesela? Więc tobie zawsze szpitalne nosze, bandaże skrwawione i jęki cierpiących? Zaliż ty ślubowałaś, jako zakonnica, oddać życie na posłudze biednych, smutnych i cierpiących?

— Ślubowałam Polsce być jej córką, a że Polska innej muzyki nie słyszy, jak granie kul i jęki rannych, to nie wina nasza, lecz tych, co są katami dla nas.

Czas się toczy szybko.

Rok za rokiem przemija, jak fale wody w Warcie.

Od roku 1831 przeszło lat 32!...

Znowu Polska jękła pieśnią męczeństwa, i znowu broń migła w dłoni polskich synów.

Rok 1863 wstał w kurzawie krwi i pieśni: Polsko, żyj!...

W Warszawie ranni leżą, lekarze wyjmują im kule, bandaże obwiązują ręce...

— Któż to wchodzi znajomy?

— Jakto? Tyżeś to siostro szpitalna, ty, aniele pociechy i opiekunko chorych?

— Wszak przed trzydziestu dwu laty byłem ranny pod Ostrołęką i tę samą rękę tyś mi z krwi obmywała, a dziś tu znowu cię widzę?...

Emilia poznaje powstańca. I istotnie, rana ta zabliźniona wyżej, znana jej... dziś cięcie jest głębsze i silniejsze, ale chory bohatersko znosi ból.

— Kto zaczął walczyć za wolność — musi wytrwać do końca — mówi mu Emilia, a ranny rzecze:

— A kto zaczął leczyć — niechże trwa jak najdłużej na stanowlsku, bo w Polsce, wśród walczących potrzeba, o, potrzeba nam nie mało serc takich, jak twoje, siostro, serc, opiekujących się smutnymi!...

. . . .

Siostra szpitalna, Emilia Szczaniecka do końca życia wytrwała na stanowisku. Własnego szczęścia nie szukała, nie pragnęła i nie znalazła.

Przed śmiercią prosiła, ażeby ją pochowano w białej trumnie z desek, nie malowanej i nie dawano jej kwiatów innych nad kłosy z ojczystych zagród.

Taka była można i szlachetna kobieta polska, która umiała być siostrą dla wszystkich smutnych, lekarką dla chorych i pociechą dla tych, którym życie szczęścia nie dało.

A my — jakiemiż siostrami bywamy?

Chociaż bracia nasi nie walczą, w obozach rannych nie ma, kul się nie wyjmuje i krwi nie obmywa, jednak wielu znajdzie się i biednych i opuszczonych, a do tych przyjść trzeba, dobrem słowem ich leczyć i być siostrą w kierowaniu na szlachetne drogi życia.

Jadwiga z Łobzowa.

JEDWABNICTWO.

Łatwa i najpraktyczniejsza produkcya jedwabnic morwowych.

Za zbyteczne uważam dowodzenie, jak wielką może przynieść korzyść rozpowszechnienie hodowli gąsienic morwowych w kraju, a tem samem produkcya choćby tylko surowego jedwabiu; jak również dowodzić, że hodowla u nas istnieć może, skoro morwa, której liściem żywią się gąsienice, znosi nasz klimat wybornie, a nawet silniejszy stawia mu opór, jak każde inne drzewo naszemu klimatowi przyswojone. Najlepszym tego dowodem licznie po ogrodach naszych znajdujące się staro-drzewa morwowe, które oczekują chwili umiejętnego zużytkowania ich liści, opierając się z całą wytrwałością tylu nieprzyjaznym żywiołom: mrozowi, posusze i wiatrom. Za mojej pamięci wymarzły w sadach drzewa owocowe i akacye, kiedy morwa zniosła wytrwale srogie ciosy dla jej rówiennic; możnaby rzec, że sama natura dała jej ten hart żywotny, aby przekonać ludzi o jej pożytku. Nim wskażę najłatwiejszy sposób hodowli gąsienic morwowych, przebiegnę w krótkości kilku słowy morwę, tę główną podstawę hodowli. Na wiosnę w ziemi uprawnej zasiewa się nasienie i na cal pulchną ziemią przykrywa; zejdzie ono, gdy będzie

starannie podlewane i z chwastów oczyszczane, a do jesieni dosięgnie wzrostem pół metra, a grubością pióra gęsiego, przyczem wszystkie płonki jednoczesnej siejby zapuszczą w ziemię korzenie na pół metra. Z nadejściem jednak zimy, jako roślinka zbyt młoda, potrzebuje nieco staranniejszej opieki, którą dostatecznie ograniczyć na pokryciu nieco korzeni szpilkami z sośniny, liśćmi i mchem, lub dobrą słomą. Na wiosnę, gdy dokona się już w ogrodach wszystkich robót wiosennych, należy morwie, jako rozwijającej się najpóźniej, starannie się poświęcić, przenosząc płonkę zeszłoroczną, starannie z ziemi wydobytą, do szkółki, pod którą ziemia winna być uprawna i dobrze wyrobiona. Drzewko wsadza się w tę ziemię rzędami, w odległości stopy, korzeniami pionowo w dół i obficie wodą się podlewa. Wśród lata również o podlaniu pamiętać potrzeba co dni kilka po zachodzie słońca. Po zasadzeniu należy płonkę nad ziemią na dwa cale przyciąć, przez co korzenie nabiorą więcej siły i życie płonki będzie pewniejsze, gdy z pieńka gałązki świeże wypuści. Z wypuszczonych kilku gałązek dwie najsilniejsze pozostawia się na drzewku, zaś resztę się obcina, a ku jesieni jeszcze i z tych gałązek jedną odciąć należy. Lat pięć do sześciu drzewko, dla wzmocnienia i starannego wyprowadzenia korony bez obcinania niższych gałązek, pozostać powinno w szkółce, gdzie o wzruszeniu ziemi, tak na wiosnę jak i w jesieni i o wycinaniu chwastów pamiętać potrzeba. Z obcinaniem gałązek pod koroną jak również i z pnia wypuszczonych wstrzymać się należy do czasu rozpoczętej hodowli, gdyż takowe z wielkim pożytkiem, jako listki młode i miękkie, dla młodych gąsienic zużyć się dadzą. W szkółce będące już morwy podziwiać będziemy co do kształtu i piękna lśniących liści. Przesadzone w ogrodzie, czy to tworząc aleje, czy też w kląby rzucone, lub też użyte jako szpaler, stanowiący z czasem silne oparkanienie ogrodu, będą najpiękniejszą jego ozdobą, i nietylko ludziom bardzo się podobać będą, lecz także zyskają ogólne poszanowanie u owadów, gdyż morwa ma tę własność od natury daną, że jej żaden pasożyt nie dotknie. W klimacie naszym początek czerwca jest najwłaściwszą porą do rozpoczęcia i zajęcia się hodowlą, w tej to bowiem porze morwa już obfituje w młode listki świeżo rozwinięte. Do rozpoczęcia hodowli potrzebujemy niewiele: 1. morwy, 2. woli, 3. stołu, 4. kilku arkuszy papieru. Oto i wszystkie przyrządy do otrzymania jedwabiu. Liszka gąsienicy morwowej żyje jako liszka dni 32, a spożywa przez ten czas liścia morwowego 4 deka. W najdojrzalszej epoce swego życia—miejsca, na którem jest chowana, zabiera nie więcej, jak cal kwadratowy. Przyjmując zaś za podstawę, że drzewo morwowe w średniej wielkości, to jest dochodzące wielkością swą drzewa śliwiny, wydaje liścia mniej więcej 30 klg.; liczyć można, że liście z jednej morwy, racyonalnie użyte, wystarczą na wyhodowanie 1000 sztuk gąsienic, które nie więcej potrzebować będą miejsca na zwykłym stole, jak cali kwadratowych 1000, czyli półtora metra kwadratowego.

Jeden dkg. jajeczek gąsienic morwowych zawiera do 15.000 ziarnek czyli jajeczek: z jakiej ilości dkg. rozpocząć mamy hodowlę i jakiej potrzebować będziemy obszerności stołów?

Doświadczenie jednego roku, w którym przeprowadzimy próbną hodowlę, da nam najlepszą możność wniosku, z jakiej ilości dkg. jajeczek i na jakiej przestrzeni w przyszłości możemy chować gąsienice, oraz jaką ilość jajeczek potrzebować będziemy sami sobie wyprodukować z własnych kokonów. Próbne doświadczenia rozpocznijmy połową lub ćwiercią dkg jajeczek, których dostać można w składach nasion we Wiedniu lub w Berlinie. Zamawiać i sprowadzać jajeczka należy wcześnie na wiosnę, by z nastaniem dni ciepłych w drodze się nie wylęgły i nie zmarnowały. Sprowadzone jajeczka należy w naczyniu szklanem lub glinianem przechować w piwnicy chłodnej, a z wierzchu naczynia, w korku lub papierze, porobić małe otwory dla dostępu powietrza i naczynie tak umieścić, aby się do jajeczek myszy lub też jakie inne żyjątka nie dostały i jajeczek nie zjadły.

Na wiosnę, gdy dojrzymy młode listeczki na gałązkach morwy, jajeczka wsypać do szklanki napełnionej zimną wodą, zamięszać piórkiem, wody zwolna dolać do pełności szklanki tyle, aby jajeczka, będące na powierzchni wody, spłynęły wraz z nieczystością, powstałą z wymycia; zaś jajeczka, będące na spodzie, wylać na płótno, rozpostrzeć w miejscu przewiewnem w pokoju, byle nie na słońcu, którego unikać należy przez czas hodowli, by promienie nie padały tak na jajeczka jak i na gąsienice. Gdy jajeczka przeschną, przegarnąć piórkiem i po należytem wyschnięciu wsypać w pudełko, nieprzykryte

wierzchem, pozostawiając w pokoju mieszkalnym o zwykłej temperaturze ciepła stopni dwunastu i zwiększając przez dni ośm temperaturę do stopni ośmnastu. Zbytecznem byłoby zalecać, że świeżość powietrza i czystość mieszkania, w którem zamierzamy prowadzić hodowlę, są niezbędnym i koniecznym warunkiem zdrowia gąsienic, koniecznego do osiągnięcia rezultatu pomyślnego. Dnia dziewiątego, przy temperaturze ciepła stopni 18, jajeczka przybiorą kolor jaśniejszy, co będzie dowodem rychłego lęgu gąsienic. Wtedy piórkiem należy je na dnie pudełka równo rozgarnąć i nakryć wnętrze pudełka tiulem w ten sposób, aby tiul przystawał wszędzie na krawędzi pudełka. Jeżeli jajeczka były dobre, lęg gąsienic od chwili pokazania się pierwszej gąsieniczki skończony być powinien w dni trzy. Z chwilą więc dostrzeżenia gąsieniczki na tiulu lub ścianie pudełka, należy na tiul, pokrywający jajeczka, położyć drugi kawałek tiulu, nieco większy, by łatwiej go zdjąć można; na wierzch drugiego kawałka tiulu posypać drobno usiekanych, jak najmłodszych kilka listków morwy, na które gąsieniczki, instynktem wiedzione, przyjdą przez pierwszy tiul, w kratkach pozostawiając ciągnącą się za niemi skorupkę jajeczka, z którego wyszły; na drugi więc tiul wejdą na listki zupełnie czyste. Ponieważ życie gąsienicy jest zbyt krótkie, gdyż zaledwie dochodzi dni 32, w którym to czasie kilkakrotnie przeobrażać musi kształty swej powierzchni, którą to przemianę nazwano snem gąsienic, każda więc chwila jej życia ceniona być winna i na korzyść gąsienic obracana. Gąsienice lęgną się najwięcej nad ranem. Po obeschnięciu listków z rosy drobno się je sieka i na tiul potrząsa, a skoro gąsieniczki przejdą na podany im pokarm, z tiulem wyjąć z pudełka i na papierze wraz z tiulem położyć, zaznaczywszy papier numerem 1 i datą. Jajeczka w pudełku pozostałe nakryć, jak poprzednio, świeżym kawałkiem tiulu i po jakich trzech godzinach, gdy się znów spora ilość gąsienic nalęże, posypać liściem drobno i świeżo usiekanym. Po pewnym czasie, mniej więcej dwu godzin, gdy gąsienice liść osiędą, przenieść je z tiulem i złożyć, jak poprzednio, na papier, oznaczywszy go numerem 2 i datą. W ten sam sposób postąpić należy raz jeszcze jeden i przed wieczorem znów z tiulem zdjąć, a papier, na którym tiul położony, oznaczyć numerem 3 z datą. Ponieważ gąsienice nie lęgną się pod wieczór, a zatem na tiul świeżo położony już listków sypać nie należy. W dniu następnym i trzecim, w ten sam sposób postąpiwszy, mieć będziemy gąsieniczki z daty 1-szej, opatrzone numerami 1, 2, 3, z daty drugiego dnia, opatrzone numerami 4, 5, 6 i z daty trzeciego dnia, opatrzone numerami 7, 8, 9, czyli pomieszczone na dziewięciu papierach, opatrzonych datami i porządkiem urodzenia. Utrzymanie tej kontroli do samego końca hodowli, to jest oznaczenie papierów, na które gąsienice z tiulem przenosić będziemy, właściwemi numerami i datą tej hodowli ma bardzo wielkie znaczenie. Hodowca bowiem naprzód wiedzieć będzie, które gąsienice, kiedy zasypiać, a kiedy budzić się będą. Tem samem, które potrzeba żywić, a które przed zaśnięciem koniecznie oczyścić. Gąsienice wogóle powinny być żywione co trzy godziny, poczynając podaniem liścia, siekanego jak najstaranniej; liść wcześniej zerwany powinien rozpostarty obeschnąć z rosy lub deszczu, nim go krajać będziemy. Przed każdem żywieniem liść należy świeżo oberwać i dobrze pokrajać.

Żywienie odbywa się w ten sposób: czystą ręką ująwszy trochę siekanego liścia, potrząsa się gąsienice równo, aby zupełnie pokryć je liściem. Wtedy wydostają się na wierzch liści, jedzą je, pozostawiając pod sobą części liścia włóknisłe. Wtedy, to jest na trzeci dzień od daty wylężenia, przy pierwszem rannem żywieniu, gąsienice nakryć należy świeżym tiulem i na ten sypać liść siekany. W trzy godziny powtórnie przesypuje się liściem, a gdy ma nastąpić trzecie karmienie, tiul z gąsienicami zdejmuje się i wkłada na świeży papier, na którym kładzie się datę i numer, jakie były na papierze, z którego zdjęte zostały; pozostałe zaś gąsienice na starym liściu (łożysku) jako słabe i niedołężne wyrzuca się, a tiul przewietrza, by był znów zdatny do oczyszczania innych gąsienic.

Dnia szóstego od daty wylęgnięcia, oznaczone numerem 1, wcześniej zasypiają od numeru 2, a te od numeru 3, kolejno więc przed zaśnięciem na świeży tiul i miejsce przenieść je potrzeba. W miarę snu nie potrzebują pożywienia, pozostają spokojne i trzymają główki wzniesione; jest to pierwszy peryod lenienia się czyli zrzucania z siebie skóry. Sen trwa 16 godzin. Przez czas trwania snu stają się wycieńczone; gdy się poruszać zaczną, będzie to dowodem, że szukają pożywienia, z podaniem którego wstrzy-

mać się należy, gdyż jako osłabione, jeśćby nie mogły. Dopiero, gdy się wszystkie gąsienice jednego numeru obudzą, co spostrzeżemy okazaną większą ruchliwością, nakryć świeżym tiulem i zadać liść posiekany. Po zadaniu powtórnem w godzin trzy, gdy ma nastąpić trzecie danie, z tiulem przenieść na świeży papier, a pozostałe na starem łożysku usunąć. W ten sposób postąpić z każdym numerem.

W dniu czwartym od pierwszego obudzenia się, czyli w dniu 9-tym od wylęgnięcia się, gąsienice zasypiają; w wigilię więc dnia powtórnego snu, tym samym sposobem przeprowadzone i oznaczone być powinny na świeżym tiulu i miejscu, jak również oznaczone właściwym numerem; sen drugi, czyli lenienie gąsienic, trwa dłużej niż 24 godzin, ponieważ gąsienice już w tym peryodzie życia znacznie podrosły. Po przebudzeniu nakryć je należy tiulem znacznie rzadszym, by swobodnie przez większe kratki przejść mogły, liść zaś grubiej pokrajany zadać, ażeby przez rzadsze kratki tiulu liść nie wpadał na dawne łożysko, gąsienice bowiem, mając na łożysku pożywienie, na świeży tiul by nie przeszły. W dni sześć od powtórnego przebudzenia a w dni piętnaście od wylęgnienia zasypiają po raz trzeci i śpią do czterdziestu godzin. Gdy już wszystkie będą przebudzone, daje się liść grubiej krajany i oczyszcza w ten sposób, jak wyżej; przeniesienie zaś gąsienic na tiul świeży i miejsce koniecznie dokonane być winno przed czwartem zaśnięciem, które nastąpi w dni sześć po przebudzeniu się ze snu trzeciego i trwać będzie dwie doby. Ponieważ w tym peryodzie dochodzą do znacznie większych rozmiarów, a tem samem i miejsca więcej potrzebują, nakryć je wypada po przebudzeniu papierem poprzednio na ten cel przyrządzonym, to jest z wyciętemi dziurkami na pół centymetra okrągło lub w kwadrat. Od tej pory stają się żarłoczniejszemi, częściej więc liść znacznie już grubiej krajany zadawać należy i w dzień, zapomocą papieru świeżego przenosić, pod który arkusz papieru podłożyć. Życie gąsienic w ostatnim peryodzie trwa dni dziesięć, z każdym dniem stają się żarłoczniejszemi i wzrost ich niemal z każdą godziną się zwiększa. W miarę więc wzrostu przy oczyszczaniu należy je pokrywać papierem o większych rozmiarach, aby swobodniej i prędzej na liść się dostały, przy końcu zaś peryodu życia, gdy staną się większe, zadaje się gałązki z liściem, na które wchodzą i liść objadają; zadawanie pokarmu, jak zawsze, powinno być częste, lecz w małej ilości i świeże, liść bowiem zwiędły niechętnie jedzą i dużo go marnują. Oczyszczanie gąsienic uskutecznia się w dzień w ten sposób, że po rannem pierwszem zadaniu świeżych gałązek przekłada się z takowemi na świeżo podłożony papier, na którym pozostają nieczystości. W dni ośm od ostatniego przebudzenia jeść przestają a zaczynają dziesiątego dnia być ruchliwszemi, to jest rozchodzą się na brzegi łożyska lub stołu, łebki, pokryte fałdami, kręcą, podnosząc ustawicznie w górę i stają się prawie przeźroczystemi: jest to chwila, w której sposobią się do snucia kokonów; w tym celu dokoła stołu należy obłożyć gąsienice powiązanemi w pęczki gałązkami miotełek brzozowych, a w te pozatykać czy to gałązki z liściem bzu świeżego, czy to różdżki morwowe, objedzone poprzednio z liści, lub też słomę rzepakową, albo położyć wiór stolarskich lub grochowej słomy. Gąsienicom, nie objawiającym chęci do snucia, zadaje się liść lub gałązki z liściem w miarę spożywania.

Gąsienice rozpoczynają snucie kokonów siecią pomiędzy gałązkami, w której, nie przestając snucia kokonów przez 48 godzin, kończą czynność zasklepieniem, to jest oprzędzeniem w kokony, gdzie przemieniają się w poczwarki. Po ośmiu dniach zebrane z gałązek kokony obdziera się z wierzchniego włókna czyli floretu, najpiękniejsze, to jest twarde i kształtne, pozostawia się na produkcyę jedwabiu. Kokony na jajeczka pozostawione muszą być w równej ilości płciowej; z kokonów podłużnych lęgną się motyle, a raczej ćmy samce, z kokonów zaś podłużnych, nie zagiętych w pośrodku — samice. Kokony okrągłe i nieforemne są utworem leniwych gąsienic i mniej mają jedwabiu, duże zaś są dubeltowe, to jast przez dwie lub kilka gąsienic usnute. Tych niektórzy naturaliści nie zalecają używać do rozpłodu, dowodząc, że powstała generacya miałaby tę samą skłonność do wspólnego snucia kokonów, które jako usnute przez dwie gąsienice, nić mają poplątaną, a tem samem nie mogą być rozprowadzone na nić jedwabiu, co dokonywa się ręką ludzką na maszynie. Inni naturaliści znów utrzymują, że gąsienice już instynktem pierwszym wiedzione, wspólnie się oprzędzają, by przyszedłszy do dojrzałości życia, które są ostatnią fazą motyla (ćmy), łatwiej i prędzej się znalazły.

Twierdzeń tych za pewnik przyjąć nie można, gdyż często z kokonów dubeltowych wychodzą ćmy samce lub samice. Kokony dubeltowe pozostawiłam na motyle, z których jajeczek wylęgłe gąsienice nie przekonały mnie o większej skłonności do snucia wspólnie kokonu.

Motyle po upływie dni czternastu od usnucia kokonu, w którym się wytworzyły z poczwarek, wychodzą z rana prawie równocześnie z wschodem słońca; samce są bardzo ożywione i o wiele mniejsze od samic, z namiętnością szukają samiczek; te zaś, mimo wolnego temperamentu, są bardzo wrażliwe; po odłączeniu się samca od samicy, co trwało kilka godzin, samiczkę należy ująć lekko za skrzydełka i przenieść na płótno, powieszone na ścianie w ten sposób, aby podstawa płótna była od ściany o kilka cali oddalona. Na płótnie, po wydzieleniu naprzód z siebie płynu koloru różowo-ciemnego, niosą 300—400 jajeczek, przytwierdzając je do płótna; niesienie jajeczek trwa dwie doby. Motyle wychodzić z kokonów, łączyć się i nieść jajeczka powinny w pokoju więcej przyćmionym lub też zupełnie ciemnym; samica, po zniesieniu jajeczek żyje kilka dni i nie przyjmując żadnego pożywienia, umiera; samce, po odłączeniu się od samic, by nie przeszkadzały samicom, usunąć należy; więcej ożywione i większe pozostawić do dnia następnego, w którym, gdyby więcej z kokonów wyszło samiczek, mogą być dołączone.

Baczną zwrócić należy uwagę przy wychodzeniu motyli z kokonów, by do rozpłodu użyć tylko o skrzydłach foremnych; ciało motyli powinno być wszędzie piękne, białe, lśniące, srebrnym włosem pokryte; nie mające tych przymiotów — odrzucić, gdyż przyszła generacya miałaby zarody różnych chorób. Przed złączeniem motyli w pary, oddzielnie składa się samice, oddzielnie samce, po wypróżnieniu których łączyć się dopiero powinno. Jajeczka po upływie dni kilku ciemnieją; gdy staną się zupełnie ciemne, z płótnem należy włożyć w słój, lub też płótno zmoczyć wodą, a gdy odmiękną, zdjąć ostrożnie, wysuszyć, byle nie na słońcu, i w naczyniu z przystępem powietrza wnieść do suchej, zimnej piwnicy. Z chowaniem jajeczek ociągać się nie można, gdyż wylęgałby się zaczęły gąsienice.

Kokony, przeznaczone na produkcyę jedwabiu, po zdjęciu z gałązek i oczyszczeniu z floretu, należy umorzyć, to jest zadusić wewnątrz kokonu poczwarkę, by ta, przemieniona w motyla, nie przedziurawiła kokonu. Umorzenie uskutecznia się w ten sposób, że kładzie się kokony w przetak, nakrywa się prostem płótnem i stawia nad wrzącą wodą; po dziesięciu minutach wstrząsa się przetakiem i powtórnie stawia nad parą na pięć minut: dużej ilości kokonów na raz sypać nie należy, by parą lepiej były przejęte. Następnie suszy się kokony, wyjęte z pary, na słońcu lub wietrze i rozpostarte zabezpiecza od myszy, dla których są wielką delicyą.

W miejscowościach, w których jest więcej morw, a tem samem hodowla mogłaby być przeprowadzona na dużą skalę, z kilku lub kilkunastu dkg. jajeczek, pomieszczenie gąsienic na stołach byłoby niemożebne; należy przeto przed rozpoczęciem hodowli przyrządzić krosna, które złożone z trzech drabinek o szczeblach odległych od siebie na pół metra, długość szczebli na metr; drabinki stawia się pionowo na podłodze i przytwierdza do podłogi klamerką winklowatą lub też dla oszczędzenia podłogi drabinki ustawia się w wyżłobione dziury w belkach. Pomiędzy trzy drabinki, równolegle do siebie stojące, kładzie się na szczeble deski pół calowe.

Gdyby się deski uginały z przyczyny zbytniej długości, drabinki ku sobie zbliżyć należy lub przystawić czwartą. Na stołach w ten sposób urządzonych składa się na papierach gąsienice oczyszczone, których żywienie na częściach krosien wyższych odbywa się z krzesła; krosna mogą dochodzić pod sufit.

Rozsnucie kokonów czyli rozprowadzenie nici wymaga specyalnej znajomości i oddzielnej maszyny, co nie jest tak łatwe, jakby się zdawało, nić, źle rozsnuta, nie ma żadnej wartości w handlu.

Zajęcie się samą hodowlą nietylko znaczną przynieść może korzyść, lecz stać się źródłem wielkiego bogactwa kraju; dobrobyt ten spoczywa przeważnie w ręku właścicieli ziemskich, ale i nauczycielstwo nasze przy dobrych chęciach mogłoby wiele zrobić w tym kierunku i przysporzyć sobie dochodu.

Zaleska.